

# Maigret i oporni świadkowie

Georges Simenon



calibre 0.9.27



# MAIGRET I OPORNI

ŚWIADKOWIE

TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO MAIGRET ET LES TÉMOINS

RÉCALCITRANTS

PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA WITWICKA

ROZDZIAŁ 1

— Nie zapomniałeś parasola?

— Nie.

Maigret był już za drzwiami i właśnie zamykał je za sobą.

— Może jednak weź szalik.

Żona pobiegła po szalik, nie domyślając się nawet, że tych kilka słów na długą chwilę zasępi komisarza i pogrąży go w melancholijne rozmyślenia.

Był dopiero listopad — trzeci dzień listopada, nawet nie bardzo zimny. Ale z nawisłego, jednostajnie zasnutego nieba siąpił deszcz, jesienny deszcz, który, zwłaszcza wczesnym rankiem, wydaje się szczególnie mokry i zdradliwy.

Niedawno, wstając z łóżka, Maigret krzywił się, bo przy każdym poruszeniu głową bolał go kark. Nie był to jeszcze reumatyzm, po prostu jakaś sztywność mięśni czy też nadwrażliwość.

Wczoraj wieczorem, po wyjściu z kina, długo szli bulwarami, a deszcz już wtedy padał.

— Wszystko to nie było ważne. A jednak, z powodu tego szalika, może dlatego, że był to gruby szal zrobiony przez żonę na drutach, Maigret poczuł się stary.

Schodząc po stopniach, znaczonych śladami mokrych

podeszew, i później, idąc ulicą pod otwartym parasolem, znowu myślał o tym, o czym

wczoraj wieczorem przypomniała mu żona: że za dwa lata pójdzie na emeryturę.

Cieszyli się z tego oboje. Rozmawiali długo, rozważając projekty zamieszkania na wsi, w okolicy Meung-sur-Loire, którą oboje lubili.

Jakiś łobuziak bez czapki potrącił go przebiegając i nawet nie przeprosił. Młode małżeństwo szło pod rękę pod jednym parasolem — pewnie pracowali w biurach położonych niedaleko siebie.

Wczorajszej niedzieli było jakoś bardziej pusto niż zwykle, może dlatego, że w tym roku wypadły akurat Zaduszki. Mógłby przysiąc, że jeszcze dziś rano czuł zapach chryzantem.

Wczoraj widzieli ze swego okna całe rodziny wędrujące na cmentarz, ale żadne z nich dwojga nie miało w Paryżu grobów swoich bliskich.

Na rogu bulwaru Voltaire'a komisarz poczekał na autobus i zasępił się jeszcze bardziej, gdy nadjechał wielki nowoczesny wóz bez pomostu. Znaczyło to, że nie tylko będzie musiał usiąść, ale w dodatku zgasić fajkę.

No, cóż, każdemu trafiają się takie pechowe dni.

Te dwa lata zlecą nie wiadomo kiedy i nie będzie już potrzebował otulać szyi szalikiem, by w dokuczliwym porannym deszczu tłuc się przez Paryż, dziś czarno—biały jak nieme filmy.

W autobusie pełno było młodzieży, niektórzy pasażerowie poznawali go, inni nie zwracali na niego uwagi.

Gdy wysiadł, deszcz wydał mu się jeszcze zimniejszy i zaczął jeszcze mocniej. Maigret czym prędzej schronił się pod sklepieniem gmachu Policji Śledczej, gdzie w sieni hulał przeciąg, podążył ku schodom i tam odnajdując swojski zapach, jakby rodzinnego domu, i niebieskawe światło palących się jeszcze lamp, odczuł nagle smutek na myśl, że już wkrótce nie będzie przychodził tu codziennie.

Stary Józef, który z jakichś nieznanых powodów nie odchodził na emeryturę, powitał go z porozumiewawczą miną i szepnął:

— Inspektor Lapointe czeka na pana komisarza. Jak zwykle w poniedziałek, w poczekalni i obszernym ftarzu pełno było ludzi. Trochę nieznanomych; parę młodych kobiet, których obecność tutaj mogła zdziwić, poza tym stali bywalcy, wciąż spotykani przed tymi lub owymi drzwiami.

Wszedł do swego gabinetu, palto, kapelusz i ów sławetny szalik powiesił w ściennej szafie, zawahał się, czy nie posłuchać zaleceń żony i nie otworzyć parasola, by wysechł w rogu pokoju, ale w końcu wstawił go do kąta w szafie. Było zaledwie wpół do dziewiątej. Na biurku leżała już poczta. Otworzył drzwi do pokoju inspektorów, uścisnął na powitanie dłonie Lucasa i jeszcze paru innych.

— Proszę powiedzieć Lapointe'owi, że już jestem.

Biura obiegra podawana szeptem z ust do ust plotka, że Józef jest w złym humorze, co zresztą nie było całkiem nieścisle. Bywają dni, gdy człowiek jest mrukliwy, posepny rozdrażniony, a później wspomina się je jako dni najszcześniejsze.

— Dzień dobry, szefie.

Lapointe był blady, niewyspany, oczy miał nieco zaczerwienione, ale błyszczące z zadowolenia. Drżał z niecierpliwości.

Nareszcie! Capnąłem go!

— Gdzie jest?

— W celce na końcu korytarza. Torrence go pilnuje.

— O której godzinie?

— O czwartej rano.

— Mówił coś?

— Kazałem dać mu kawy, a później, koło szóstej, śniadanko dla nas obu i pogwarzyliśmy sobie jak starzy przyjaciele.

— Daj go tutaj.

To było coś. Już od lat Grzegorz Bron, zwany Cierpliwym lub Kanonikiem, operował tak, że nie można go było przyłapać na gorącym uczynku.

Raz tylko, przed dwunastu laty, schwytano go, ponieważ spał nieco za długo, ale po odsiedzeniu kary wrócił do złodziejskiego fachu, w niczym nie zmieniając zwyczajów.

Poprzedzany przez Lapointe'a, który promieniał, jakby złowił największego pstrąga lub największego szczupaka roku, Kanonik wszedł teraz do gabinetu i z zakłopotaną miną stanął przed zagłęzionym w swych papierach Maigretem.

— Siadaj.

Odkładając jakiś list, Maigret zapytał:

— Masz papierosy?

— Mam, panie komisarzu.

— Możesz zapalić.

Było to wielkie chłopisko lat czterdziestu trzech; już za swoich szkolnych czasów musiał być tłusty i nalany. Miał jasną różową cerę, która łatwo przechodzi w odcień czerwony, zadarty nos, podwójny podbródek i naiwne usta.

— No co, złapali cię jednak?

— Złapali.

Za pierwszym razem aresztował go właśnie Maigret i od tamtego czasu nieraz się spotykali, zawsze witając się uprzejmie.

— Znów to samo! — powiedział teraz komisarz robiąc aluzję do okradzionego mieszkania.

Kanonik nie zaprzeczył, tylko uśmiechnął się skromnie. Nigdy nie można mu było niczego dowieść. A jednak, choć nie zostawiał śladów, sama metoda kradzieży była jakby jego znakiem firmowym.

Pracował sam, każdy skok przygotowując z niebywałą cierpliwością. Był to człowiek idealnie spokojny, bez nałogów, bez namiętności, bez nerwów.

Cały swój wolny czas spędzał w kącie jakiegoś baru, kawiarni czy restauracji, na pozór pogrążony w lekturze gazety lub drzemce, lecz nic z tego, co mówiono dokoła, nie uchodziło jego uwagi.

Był również gorliwym czytelnikiem tygodników, w których dokładnie studiował kroniki i rubryki wiadomości towarzyskich, dzięki czemu lepiej niż ktokolwiek orientował się we wszelkich wyjazdach i przyjazdach co znamienitszych osób.

Po czym pewnego pięknego dnia do Policji Śledczej telefonowała jakaś znana osobistość — na przykład aktor lub gwiazda filmowa, którzy po powrocie z Hollywood, Londynu, Rzymu czy Cannes zastawali mieszkanie okradzione.

Maigret, nie słuchając do końca, pytał od razu:

— A lodówka?

— Pusta!

Bar z likierami również. Poza tym z góry można było przewidzieć, że włamywacz zostawił łóżko w nieładzie, że używał piżamy, szlafroka i nocnych pantofli gospodarza.

To właśnie była pieczętka Kanonika, zwyczaj nabyty od samych początków, gdy miał dwadzieścia dwa lata i prawdopodobnie bywał rzeczywiście głodny i spragniony wygodnego posłania. Gdy upewnił się, że jakieś mieszkanie będzie puste przez parę tygodni, że nie będzie w nim służby, że dozorczyńni nie polecono wietrzyć go — wprowadzał się, nawet bez użycia łomu, zamki bowiem nie miały dla niego tajemnic.

Gdy już dostał się do środka, zamiast zgarniać w pośpiechu wartościowe przedmioty — biżuterię, obrazy, bibeloty — zamieszkiwał tam na jakiś czas, zwykle dopóty, póki nie wyczerpały się zapasy żywności.

Po jego pobycie znajdowano ze trzydzieści pustych puszek po konserwach i, oczywiście, pewną ilość pustych butelek. Czytał. Spał. Korzystał z łazienki z rozkoszą, nie wzbudzając podejrzeń w sąsiadach.

Potem wracał do siebie, podejmował regularny tryb życia, jedynie wieczorami zachodził na belotkę do pewnego baru o złej reputacji przy ulicy des Ternes, gdzie, jako że pracował sam i nigdy nie opowiadał o swych wyczynach — spoglądano nań z szacunkiem zabarwionym nieufnością.

— Napisała czy zatelefonowała do pana?

Zadał to pytanie z taką samą melancholią, jaka ogarnęła Maigreta, gdy niedawno wychodził z domu.

— O czym ty mówisz?

— Pan dobrze wie, panie komisarzu. Bez tego nie nakrylibyście mnie. Pański inspektor — zwrócił się w stronę Lapointe'a — czekał na mnie już w klatce schodowej i sędzę, że na ulicy miał kumpla. Może nie?

— Tak.

Lapointe spędził nie jedną, lecz dwie noce w klatce schodowej kamienicy w Passy, w której mieszkał niejaki pan Ailvard. Wyjechał właśnie do Londynu, gdzie miał pozostać dwa tygodnie. Pisma doniosły o tej podróży, bo Ailvard zamierzał pertraktować w sprawie pewnego filmu i bardzo znanej gwiazdy.

Kanonik nigdy nie zapuszczał się do mieszkań natychmiast po wyjeździe legalnego lokatora. Odczekiwał pewien czas, był ostrożny.

— Dziwię się, jak mogłem nie zauważyć pańskiego inspektora. No, trudno... Mam nauczkę!... Telefonowała do pana?

Maigret pokręcił głową przecząco.



— Pisała?

Maigret skinął głową.

— Przypuszczam, że nie może mi pan pokazać tego listu? Pewnie zmieniła charakter pisma?

Nawet nie. Ale nie było potrzeby mówić mu o tym.

— Spodziewałem się, choć nie chciałem w to wierzyć, że przyjdzie wreszcie taki dzień. To dziwka, za przeproszeniem pana, a jednak nie mogę się na nią gniewać... A w każdym razie byłem przez dwa lata szczęśliwy, to już coś warte.

Przez, długie lata nikt nie słyszał, by Kanonik miał jakieś przygody z kobietami i z powodu jego powierzchowności nieraz dokuczano mu, zgadując przyczyny jego wstrzemięźliwości.

Aż nagle w czterdziestym pierwszym roku życia ożenił i z niejaką Żermeną, młodszą od niego o dwadzieścia lat, niedawno jeszcze spacerowała po ulicy de Wagram.

— Braliście ślub u mera?

— I nawet u księdza. To Bretonka. Przypuszczam, że przeprowadziła się już do Heńka?

Miał na myśli młodego sutenera, Heńka bez Oka.

— To raczej on wprowadził się do ciebie.

Kanonik nie oburzył się, nie wyrzekał na los, interesował się tylko sobą:

— Ile zarobiłem?

— Od dwóch do pięciu lat. Czy inspektor Lapointe już cię przesłuchał?

— Notował, co mówiłem.

Zadzwonił telefon.

— Halo! Tu komisarz Maigret. Słuchał, marszczył brwi.

— Proszę powtórzyć nazwisko! Przysunął sobie notes i wpisał: Lachaume.

— Ulica de la Gare?... W Ivry?... Dobrze... Czy wzywano już lekarza?... Czy ten

człowiek na pewno nie żyje?

Kanonik nagle przestał być ważny i zdawało się, że sam to wyczuł. Wstał, nie czekając na polecenie.

— Zdaje się, że panowie macie teraz co innego na głowie...

Maigret powiedział do Lapointe'a:

— Zaprowadź go do aresztu, a sam idź się przespać. Otworzył szafę, wyjął płaszcz i kapelusz, po czym z uśmiechem uściśnął dłoń grubasa o rumianej twarzy.

— To nie nasza wina, stary.

— Wiem.

Szalika nie włożył. W pokoju inspektorów poszukał Janviera, który właśnie przyszedł przed chwilą i jeszcze nie wziął się do pracy.

— Chodź ze mną.

— Tak jest, szefie.

— Lucas, zadzwoń do Prokuratury. Kulą w sam środek klatki piersiowej zabito jakiegoś faceta przy ulicy de la Gare, w Ivry. Nazywa się Lachaume. Biskopki firmy Lachaume...

Ożyły nagle wspomnienia z dzieciństwa spędzonego na wsi. W tamtych czasach w każdym marnie oświetlonym wiejskim sklepiku, gdzie sprzedawano nici do szycia i wyschnięte jak kalosz jarzyny, zawsze można było dostać paczuszki w przejrzystym woskowanym papierze, których etykiety głosiły: Wytwórnia biskoptów Lachaume.

Były też herbatniki Lachaume i wafle Lachaume, a wszystko to zresztą miało podobny, trochę kartonowy smak.

Od tamtych czasów nic o Lachaume'ie nie słyszał. Nie widywał również kalendarzy z obrazkiem przedstawiającym chłopca o przesadnie różowych policzkach i głupkowatym uśmiechu, zjadającego wafel Lachaume'a, i rzadko jedynie gdzieś na zapadłej wsi zdarzało

mu się spotkać na jakiejś ścianie to nazwisko, mniej lub więcej wyblakłe.

— Oczywiście zawiadam także Zakład Kryminalistyki.

— Tak jest, szefie.

Lucas już sięgał po słuchawkę telefonu. Maigret i Janvier schodzili ze schodów.

— Weźmiemy samochód?

Smętek Maigreta rozwiął się pod wpływem codziennej atmosfery Policji Śledczej.

Wciągnięty w swój żywioł, nie rozmyślał już, że się starzeje, ani nie stawiał sobie żadnych pytań.

Niedziele zawsze są najgorsze. W samochodzie, zapalając fajkę, która odzyskała swój smak, zapytał:

— Jadałeś biszkopty Lachaume'a?

— Nie, szefie.

— Oczywiście, za młody jesteś.

Zresztą, kto wie, może nigdy nie były sprzedawane w Paryżu? Są takie produkty, które wyrabia się specjalnie ; dla prowincji. Spotyka się również firmy, które wychodzą z mody, ale zachowują garstkę wiernych klientów. Przypomniał mu się pewien aperitif, znany w czasach jego młodości, a który teraz można było dostać jedynie w oberżach położonych daleko od głównych szos.

Gdy minęli most, nie mogli jechać dalej bulwarami, gdzie obowiązywał jednokierunkowy ruch, i Janvier musiał kluczyć i zakręcać kilka razy, nim wrócił nad Sekwanę, naprzeciwko Charenton.

Na drugim brzegu widać było Hale Winne, a po lewej stronie pociąg jadący przez żelazny most nad rzeką.

Tam gdzie kiedyś były tylko wille i szopy, teraz wznosiły się czynszowe kamienice

szeście— czy siedmiopiętrowe, ze sklepami i bistrami na parterze, ale tu i ówdzie pozostały jeszcze luki, puste tereny, warsztaty, kilka parterowych domków.

— Który numer?

Maigret podał numer i zatrzymali się przed budynkiem, który ongi musiał być okazały: dwa piętra z kamienia i cegły, w głębi wysoki komin, po którym od razu można było się domyślić, że mieści się tutaj jakaś fabryczka. Przed bramą stał samochód. Po chodniku spacerował tam i z powrotem policjant. Trudno było powiedzieć, czy był to jeszcze Paryż, czy już Ivry; ulica, którą właśnie minęli, stanowiła zapewne granicę.

— Dzień dobry, panie komisarzu. Drzwi są otwarte. Na górze oczekują pana.

Brama pomalowana była na zielono, a w jednym jej skrzydle znajdowały się nieco węższe drzwi. Obaj mężczyźni znaleźli się pod sklepieniem, trochę podobnym jak na Quai des Orfèvres, z tą różnicą, że na drugim końcu były drzwi o matowych szybach. Jedna szyba była wybita i zastąpiono ją kartonem.

Było tu chłodno i wilgotno. Jedne drzwi prowadziły na prawo, drugie na lewo; Maigret po namyśle wybrał te na prawo, a wybór okazało się chyba słuszny, weszli bowiem do hallu, skąd szerokie schody wiodły na górę.

Ściany, niegdyś białe, teraz żółkły i miały ciemne brązowe smugi, a spękany sufit łuszczył się tu i ówdzie. Trzy pierwsze stopnie były marmurowe, a następne, drewniane, — nie myte od dawien dawna, trzeszczały pod nogami.

Przypominało to niektóre lokale biurowe, gdzie człowiek zawsze ma wrażenie, że trafił w niewłaściwe drzwi. Gdyby Maigret lub Janvier odezwali się, może odpowiedziałoby im echo?

Na pierwszym piętrze ktoś chodził i przechylił się przez poręcz, a gdy tylko Maigret znalazł się na górze, jakiś młody człowiek o zmęczonym wyrazie twarzy przedstawił mu się:

— Legrand, sekretarz komisariatu w Ivry... Pan komisarz oczekuje pana...

Znowu jakiś hali, marmurowa posadzka, okno bez zasłon, przez które widać było Sekwanę i deszcz.

Dom był obszerny, pełno w nim było drzwi, korytarzy, niby w jakimś urzędzie, i wszędzie ta sama szarzyzna, ten sam zapach zastarzałego kurzu.

Na końcu nieco szerszego korytarza, na lewo, sekretarz zastukał do drzwi, otworzył i ujrzeli sypialnię, w której było tak ciemno, że komisarz z Ivry zarządził, aby pozostawiono tam zapalone światło.

Okno wychodziło na podwórze i poprzez przykurzony muślin firanek widać było komin, który Maigret już poprzednio zauważył z ulicy.

Komisarz z Ivry, którego znał słabo, był młodszy od jego i z przesadnym uszanowaniem uściśnął mu rękę.

— Przybyłem natychmiast, gdy tylko otrzymałem wiadomość przez telefon.

— Doktor już poszedł?

— Śpieszył się. Nie uważałem za potrzebne zatrzymywać go, ponieważ zaraz ma tu być lekarz sądowy...

Nieboszczyk leżał na łóżku i oprócz komisarza policji w pokoju nie było nikogo.

— Rodzina?

— Wysłałem ich do ich pokoiów lub do salonu. Sądziłem, że będzie pan wolał...

Maigret wyjął zegarek z kieszeni. Była za kwadrans dziesiąta.

— O której pana powiadomiono?

— Jakaś godzinę temu. Akurat przyszedłem do biura. Telefonowano do mego sekretarza, żebym przyszedł tutaj.

— Czy pan wie, kto telefonował?

— Tak. Brat denata, Armand Lachaume.

— Pan go zna?

— Tylko z nazwiska. Był parę razy w komisariacie, gdy uwierzytelniał podpis lub załatwiał jakąś formalność. Ludźmi tego typu nie warto zawracać sobie głowy...

To zdanie zastanowiło Maigreta: Ludzie, którymi nie warto zawracać sobie głowy.

Rozumiał to, ponieważ zarówno ten dom, jak i biszkopty firmy Lachaume wydawały się przeżytkiem innej epoki, nie należały do współczesnego życia.

Od wielu już lat Maigret nie widział takiej sypialni. Zapewne w najdrobniejszych szczegółach nic nie zmieniło się tutaj od ubiegłego stulecia. Była nawet szafka umywalnia z blatem z szarego marmuru, na którym stała fajansowa miednica w kwiaty, taki sam dzbanek od wody, mydelniczka i podstawka do gąbki.

Zresztą meble i drobne przedmioty wcale nie były brzydkie. Niektóre miałyby prawdopodobnie pewną wartość na jakiejś wyprzedaży czy u antykwariusza, lecz tu, w tym nagromadzeniu, sprawiały ponure i przytłaczające wrażenie.

Wydawało się, że w pewnym momencie, dość już dawno temu, życie się tu zatrzymało. Nie życie spoczywającego na łóżku mężczyzny, ale życie domu, życie w ogóle. I nawet fabryczny komin poza firankami, z literą „L” z czarnych cegieł — był śmieszny i przestarzały.

— Kradzież?

Parę szuflad było otwartych. Na podłodze koło szafy poniewierały się krawaty i bielizna.

— Zdaje się, że znikł portfel, w którym były pieniądze.

— Kto to jest?

Maigret wskazał trupa na łóżku. Prześcieradło i kołdra były w nieładzie. Poduszka spadła na podłogę. Jedna ręka zwisała. Na pizamie, podartej lub spalonej przez proch, widać było ślady krwi.

Z rana Maigret myślał o biało–czarnych kontrastach niemych filmów, a teraz, w tym pokoju, przypomniały mu się nagle dawne ilustracje w niedzielnych wydaniach gazet, kiedy to jeszcze nie dawano fotografii, lecz rysunki przedstawiające dramatyczne wydarzenia tygodnia.

— Leonard Lachaume, starszy syn.

— Żonaty?

— Wdowiec.

— Kiedy to się stało?

— Dziś w nocy. Według doktora Voisin, śmierć nastąpiła około godziny drugiej nad ranem.

— Kto był wtedy w domu?

— Chwileczkę... Starzy, ojciec i matka, na' piętrze, w lewym skrzydle... To dwoje...

Chłopak...

— Co za chłopak?

— Syn zabitego... Ma ze dwanaście lat... Teraz jest w szkole...

— Mimo tego, co się stało?

— Zdaje się, że gdy o ósmej szedł do szkoły, nikt jeszcze o niczym nie wiedział...

— Nikt nic nie słyszał? Kto jeszcze był w domu?

— Służąca... Zdaje mi się, że nazywa się Katarzyna... Sypia na górze, w pobliżu starych i chłopca... Wygląda na równie starą i równie zniszczoną jak ten dom... Następnie ów młodszy brat, Armand...

— Czyj brat?

— Nieboszczyka... Po drugiej stronie korytarza jest sypialnia jego i jego żony.

— Oboje byli w domu tej nocy i wystrzał ich nie obudził?

— Tak twierdzą. Ograniczyłem się do zadania im paru pytań. To nie takie proste. Sam się

pan przekona.

— Co nie jest proste?

— Rozeznać się w tym. Kiedy się tu zjawiłem, nie wiedziałem, o co chodzi. Gdy tylko zatrzymałem samochód przed bramą, otworzył mi Armand Lachaume, ten, który do mnie telefonował. Z miną człowieka na wpół obudzonego powiedział, nie patrząc na mnie: „Mój brat został zabity, panie komisarzu”. Przyprowadził mnie tutaj i wskazał na łóżko. Na moje pytanie, kiedy to się stało, odpowiedział, że nie ma pojęcia. Nalegałem: „Pan był w domu?”

— „Oczywiście. Spałem w moim pokoju”.

Komisarz policji wydawał się niezadowolony z samego siebie.

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Zwykle, gdy w jakiejś rodzinie wydarzy się coś takiego, zastaje się wszystkich przy zamordowanym, jedni płaczą, inni opowiadają, co „lak, mówią raczej za wiele... W tym wypadku dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że w domu byli nie tylko ci dwaj mężczyźni...

— Widział pan resztę rodziny?

— Żonę.

— Żonę Armanda, tego, który telefonował po pana, tak?

— Tak. W pewnej chwili posłyszałem jakiś szmer na korytarzu. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ją. Miała twarz równie zmęczoną, jak jej mąż. Nie wyglądała na zmieszaną. Zapytałem, kim jest, a Armand odpowiedział za nią: moja żona...” Zapytałem, czy niczego w nocy nie słyszała, a ona powiedziała, że nie, że ma zwyczaj zażywać jakieś tam środki nasenne...

— Kto znalazł ciało? Kiedy?

— Stara służąca, za kwadrans dziewiąta. Widział ją pan?

— Widziałem. Poszła chyba z powrotem do kuchni. Podejrzewam, że jest nieco



przygłucha. Zaniepokoiło ją, że starszy syn państwa nie zjawił się na śniadanie, które wszyscy zwykle jedzą w stołowym pokoju. Wreszcie zapukała do jego drzwi. Potem weszła, no i zaraz zawiadomiła rodzinę.

— A starzy?

— Nie mówią nic. Matka jest na wpół sparaliżowana i bezmyślnie patrzy przed siebie.

Ojciec wydaje się tak przygnębiony, że ledwo rozumie, co się do niego mówi.

I komisarz powtórzył:

— Przekona się pan!

Maigret zwrócił się do Janviera:

— Może zechciałbyś rzucić okiem?

Janvier wyszedł, a Maigret zbliżył się wreszcie do trupa, który leżał na lewym boku, twarzą do okna. Ktoś już zamknął mu oczy. Miał na wpół rozchyłone usta i obwisłe czarne wąsy, lekko siwiejące. Szpakowate włosy przyklepiły się do skroni i czoła.

Trudno było określić wyraz jego twarzy. Wydawało się, że nie cierpiał przed śmiercią, nad wszystkim górowało jakieś osłupienie. Ale może sprawiały to te wpólotwarte usta, i może wyraz ten pojawił się już po śmierci.

Maigret usłyszał kroki w hallu na pierwszym piętrze, następnie w korytarzu. Otworzył drzwi i natknął się na jednego z wiceprokuratorów, którego znał od dawna, a który, patrząc na łóżko, bez słowa uściśnął mu rękę. Maigret znał również pisarza sądowego, któremu kiwnął głową, ale nie miał pojęcia, kim jest wysoki młody mężczyzna, idący za nimi, bez palta i kapelusza.

— Sędzia śledczy Angelot...

Młody urzędnik, który się tak przedstawił, wyciągnął krzepką, wypielegnowaną dłoń, dłoń tenisisty, i Maigret znów pomyślał, że nowe pokolenie przejmuje właśnie zmianę.

Co prawda, tuż za nim postępował stary doktor Paul, zasapany, lecz żwawy, z oczyma i ustami smakosza.

— Gdzie ten truposz?

Maigret zauważył, że szaroniebieskie źrenice sędziego śledczego stały się lodowate, a czoło pobladło, co było zapewne oznaką niezadowolenia.

— Fotografowie już skończyli? — pytał doktor Paul.

— Jeszcze ich nie było. Zdaje się, że właśnie idą. Trzeba było zaczekać, aż zrobią swoje, najpierw oni, potem specjaliści z Zakładu Kryminalistyki, którzy wtargnęli do pokoju i zabrali się do pracy.

W kącie wiceprokurator spytał Maigreta:

— Tragedia rodzinna?

— Zdaje się, że kradzież.

— Nikt nic nie słyszał?

— Twierdzą, że nie.

— Ile osób było w domu?

— Zaraz policzę... Dwoje starych i służąca, to troje... Chłopiec...

— Co za chłopiec?

— Syn zabitego... To czworo... Następnie brat i jego żona... Sześcioro! Sześć osób prócz denata, i nikt nic nie słyszał...

Wiceprokurator podszedł do futryny drzwi i powiódł ręką po papierze tapety.

— Mury grube, ale jednak! Broni nie znaleziono?

— Nie wiem... Komisarz policji z Ivry nie wspominał mi o tym... Jak tylko skończą się formalności, zaraz przystąpię do pytań...

Fotografowie szukali elektrycznego gniazdka dla swych reflektorów, a nie znalazłszy go,

musieli wykręcić żarówkę ze zwisającej pośrodku pokoju lampy. Chodzili tam i sam, marudzili, potracali się, wymyślali sobie, a tymczasem sędzia śledczy w szarym ubraniu, wyglądający jak wysportowany student, stał bez ruchu nie mówiąc ani słowa.

— Czy nie sądzi pan, że mógłbym teraz odejść? — zapytał komisarz policji. — W mojej poczekalni już pewno tłum ludzi. Tutaj gapie zaczną się wkrótce gromadzić na chodniku, mógłbym więc przysłać panu na wszelki wypadek kilku moich ludzi.

— Bardzo proszę. Dziękuję panu.

— Moi inspektorzy dobrze znają dzielnicę. Może któryś z nich przydałby się panu?

— Później na pewno mi się przyda. Zatelefonuję do pana. Raz jeszcze dziękuję.

Odchodząc już, komisarz powtórzył:

— Przekona się pan!

Wiceprokurator zapytał półgłosem:

— O czym? Maigret:

— Rodzina... Otoczenie... Gdy komisarz policji tu się zjawił, przy zmarłym nie było nikogo... Każdy siedział u siebie lub w jadalni... Nikt nic nie słyszał...

Zastępca prokuratora przyglądał się meblom, tapetom z plamami wilgoci, szafie, okapowi kominka, na którym całe pokolenia much pozostawiły swe ślady.

— To mnie wcale nie dziwi...

Pierwsi wyszli fotografowie i w pokoju zrobiło się nieco luźniej. Doktor Paul mógł przystąpić do urzędowych oględzin, podczas gdy specjaliści szukali odcisków palców i przetrząsali szuflady.

— O której, doktorze?

— Po autopsji będę wiedział dokładniej, ale w każdym razie nie żyje już ze sześć godzin.

— Śmierć nastąpiła natychmiast?

— Strzelono z bliska... Rana zewnętrzna jest wielkości spodka, skóra opalona...

— Kula?

— Znajdę ją później, w ciele, nie wyszła bowiem, co pozwala przypuszczać, że strzelano z małego kalibru.

Całe dłonie miał powalane krwią. Podeszedł do umywalni, ale miednica była pusta.

— Powinien tu gdzieś być kran...

Otwarto mu drzwi. Na korytarzu był Armand Lachaume, młodszy brat zabitego; bez słowa zaprowadził doktora do staromodnej łazienki, gdzie królowała antyczna wanna o wygiętych nóżkach, z kranem kapiącym zapewne od lat, gdyż na emalii potworzyły się brązowe smugi.

— No, to niech pan pracuje, Maigret — westchnął wiceprokurator i zwracając się do sędziego śledczego dodał: — Ja wracam do Pałacu.

Ale sędzia mruknął:

— Bardzo żałuję, że nie będę panu towarzyszył. Zostaję.

Maigret zachnął się i omal nie poczerwieniał, gdy spostrzegł, że młody sędzia to zauważył.

Angelot zaś rzekł pośpiesznie:

— Proszę nie mieć mi tego za złe, panie komisarzu. Pan wie, że jestem dopiero początkującym i mam teraz świetną okazję, aby się czegoś nauczyć.

Czy w jego głosie nie było cienia ironii? Był uprzejmy, nawet ugrzeczniony. I całkowicie chłodny pod pozorami ej serdeczności.

Zapewne przedstawiciel tej nowej szkoły, według której śledztwo od samego początku aż do końca powinien prowadzić sędzia śledczy, a policja ma ograniczyć się do wykonywania jego poleceń.

Janvier, który stał właśnie w progu i wszystko słyszał, wymienił z Maigretem porozumiewawcze spojrzenie.

## ROZDZIAŁ 2

Maigretowi nie udało się ukryć złego humoru i do pasji doprowadzała go myśl, że sędzia nie tylko to widzi, ale przypisuje zapewne swej obecności, co jedynie częściowo odpowiadało prawdzie, bo przecież jeszcze na bulwarze Richard–Lenoir epizod z szalikiem wywołał cały łańcuch ponurych myśli!

Ten Angelot, taki wyświecony, taki ruchliwy, na pewno niedawno skończył studia. I albo był człowiekiem wyjątkowym, jakich w każdym pokoleniu policzyć można na palcach, albo protegowanym jakichś wpływowych osobistości, i dzięki temu zamiast objąć się całe lata w jakimś sądzie podprefektury został mianowany w Paryżu.

Gdy przed chwilą wiceprokurator przedstawiał ich sobie, sędzia poprzestał na uściśnięciu dłoni Maigreta z żywością, która mogła uchodzić za serdeczność, lecz nie wypowiedział przy tym żadnego z tych zdań, do których komisarz był przyzwyczajony. Oczywiście nie należało oczekiwać, że powie, jak mawiali starsi od niego: „Miło mi znów pana spotkać”. Inni jednak bąkali zazwyczaj: „Cieszę się niezmiernie, że będę pracował z panem”.

Trudno było przypuścić, że Angelot nigdy o nim nie słyszał. A tymczasem nie okazał ani zadowolenia, ani ciekawości.

Czyżby to była świadomie przyjęta postawa, aby dać Maigretowi do zrozumienia, że jego popularność wcale mu nie imponuje? Czy też brak zainteresowania, owa szczerza obojętność młodego pokolenia?

Komisarz zapamiętał jednak parę spojrzeń tamtego i zastanawiał się, czy to raczej nie pewna nieśmiałość, rodzaj wstydlivosti.

Maigreta krępowało to znacznie bardziej niż spryt. Czuł, że jest obserwowany, i usiłował zachowywać się swobodnie. Powiedział półgłosem do Janviera:

— Rób to, co zwykle. Obaj wiedzieli, o co chodzi.

Po czym Maigret zwrócił się do Armanda Lachaume, nie ogołonego i bez krawata:

— Przypuszczam, że jest jakiś pokój, w którym moglibyśmy swobodnie porozmawiać?

A nawiązując do panującego tu chłodu, dodał:

— Przede wszystkim, jakiś pokój ogrzany. Dotknąwszy grzejnika starego typu stwierdził, że centralne ogrzewanie nie działa.

Lachaume także nie silił się na uprzejmość.

Przez chwilę zdawał się zastanawiać, po czym z opuszczonymi ramionami, jakby zrezygnowany, powiedział:

— Tędy...

Nie tylko w atmosferze domu, ale i w postawie jego mieszkańców wyczuwało się coś dziwnie niejasnego. Jak zauważył komisarz z Ivry, zamiast płaczu, bezładnego snucia się tam i z powrotem, gorączkowych rozmów, słyszało się tylko przyciszone kroki, widziało się na wpół uchylone drzwi, czuło się śledzące oczy.

Właśnie w tym źle oświetlonym korytarzu Maigret dostrzegł nagle w szparze jakichś lekko uchylonych drzwi czyjeś oko, ciemne włosy, jakąś postać, sylwetkę niewątpliwie kobiecą.

Doszli do hallu na pierwszym piętrze i Armand Lachaume pchnął po lewej stronie drzwi do przedziwnego salonu, gdzie dwoje starych ludzi siedziało koło żelaznego piecyka.

Syn nic nie powiedział, nikogo nikomu nie przedstawił. Ojciec miał co najmniej ze siedemdziesiąt pięć lat, może osiemdziesiąt. W przeciwieństwie do Armanda był świeżo ogołony, w czystej koszuli i czarnym krawacie.

Powstał, równie spokojny i godny jak na posiedzeniu jakiejś rady nadzorczej, skłonił się lekko głową, po czym pochylił się ku żonie, która musiała być w tym samym co i on wieku; pół twarzy miała bezwładne, a oko nieruchome, jak szklane.

Starzec pomógł jej wstać z fotela i oboje bez słowa wyszli przez inne drzwi.

W tym właśnie pokoju gromadziła się zazwyczaj cała rodzina, świadczyły o tym porozstawiane meble, porozrzucane przedmioty. Maigret usiadł na krześle i zwrócił się do sędziego Angelot:

— Czy pan chce zadawać pytania?

— Proszę, niech pan prowadzi przesłuchanie. Sędzia oparł się plecami o futrynę drzwi.

— Może pan będzie łaskaw usiąść, panie Lachaume — powiedział Maigret.

Jak gdyby poruszał się w gęstej mgle. Wszystko tu zdawało się nieuchwytnie, jedynie wciąż padający za oknami deszcz był rzeczywisty.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wie.

— Nic nie wiem.

Ton był obojętny, bezosobowy, ale wzrok unikał spotkania ze spojrzeniem komisarza.

— Zmarły to pana starszy brat, prawda?

— Tak, to mój brat Leonard, już to mówiłem pańskiemu koledze.

— Wytwórnia biszkoptów egzystuje nadal?

— Oczywiście. On ją prowadził?

— Nasz ojciec jest prezesem rady nadzorczej. Ale kto naprawdę kierował fabryką? Mój brat.

— A pan?

— Zajmowałem się sprawami administracyjnymi i ekspedycją.

— Czy pana brat dawno owdowiał?

— Osiem lat temu.

— Czy pan orientował się w jego życiu osobistym?

— Przebywał stale tutaj, wśród nas.

— Przypuszczam jednak, że poza domem miał jakieś życie prywatne, przyjaciół,

przyjaciółki, znajomych?

— Nie wiem.

— Oświadczył pan komisarzowi policji, że zginął jakiś portfel.

Lachume skinął głową twierdząco.

— Jaką sumę mógł ten portfel zawierać?

— Nie mam pojęcia.

— Dużą sumę?

— Nie wiem.

— Czy brat pana miał na przykład zwyczaj trzymać u siebie w pokoju po kilkaset tysięcy franków?

— Nie sędzę.

— Czy to on kierował finansowymi sprawami przedsiębiorstwa?

— On i księgowy.

— A gdzie jest księgowy?

— Myślę, że na dole.

— A gdzie odprowadzano wpływające pieniądze?

— Do banku.

— Codziennie?

— Pieniądze nie wpływają codziennie.

Maigret zmuszał się do spokoju i uprzejmości, czując na sobie obojętny wzrok młodego sędziego.

— No dobrze, ale zdarzało się przecież, że były jakieś pieniądze...

— W kasie pancерnej.

— Gdzie jest ta kasa?



— Na parterze, w gabinecie mego brata.

— Nie naruszono jej dziś w nocy?

— Nie.

— Jest pan tego pewny?

— Tak.

— Czy przypuszcza pan, że morderca pańskiego brata przyszedł z zewnątrz, w celu kradzieży?

— Tak.

— Ktoś zupełnie obcy?

— Tak przypuszczam.

— Ile osób pracuje w przedsiębiorstwie?

— W tej chwili dwadzieścia. Był czas, że zatrudnialiśmy powyżej setki robotników i robotnic.

— Znał pan ich wszystkich?

— Tak.

— Nie podejrzewa pan nikogo?

— Nie.

— Ubiegłej nocy nic pan nie słyszał, mimo że pańska sypialnia jest zaledwie parę metrów od sypialni pańskiego brata?

— Nic nie słyszałem.

— Ma pan mocny sen?

— Chyba tak.

— Czy aż tak mocny, że wystrzał w odległości dziesięciu kroków od pana nie mógłby pana obudzić?

— Nie wiem.

W tej chwili dało się słyszeć jakieś dudnienie i zdawało się, że dom, pomimo swych grubych murów, zdrzął trochę. Maigret i sędzia śledczy wymienili spojrzenia.

— To pociąg?

— Tak. Tory przebiegają niedaleko.

— Czy w nocy ruch jest duży?

— Nie liczyłem pociągów. Chyba ze czterdzieści, zwłaszcza długie składy towarowe.

Zastukano do drzwi. Janvier dał znak Maigretowi, że ma mu coś do powiedzenia.

— Wejdz. Mów.

— Na podwórzu, a parę metrów od ściany, leży drabina. Znalazłem ślady, że oparta była o parapet okna.

— Którego okna?

— Okna hallu sąsiadującego z tym pokojem. Okno wychodzi na podwórze. Drabinę musiano przestawić niedawno i jedna szybka została najpierw pociągnięta mydłem, a potem stłuczona.

— Wiedział pan o tym, panie Lachaume?

— Zauważyłem to.

— Dlaczego nic mi pan o tym nie powiedział?

— Nie miałem sposobności.

— Gdzie zwykle stoi ta drabina?

— Zwykle stoi oparta o ścianę budynku administracyjnego, na lewo, w podwórzu.

— Była tam wczoraj wieczorem?

— Powinna była być.

— Pan pozwoli?

Maigret wyszedł z pokoju, by osobiście rzecz sprawdzić, a także by odetchnąć nieco i przy okazji zapalić fajkę. Górny hali rozjaśniały dwa okna; jedno wychodziło na ulicę, a drugie, po przeciwnej stronie, na podwórze. Jedna z szyb tego właśnie okna była wybita i kilka kawałków szkła leżało na podłodze.

Otworzył okno szeroko i na szarym kamieniu zobaczył dwie nieco jaśniejsze smugi, które odpowiadały szerokości drabiny.

Drabina, jak mówił Janvier, leżała ukośnie na podwórzu. Wysoki komin dymił leciutko. W budynku na lewo widać było kobiety pochylone nad długim stołem.

Już miał powrócić do salonu, gdy posłyszał szmer i zobaczył otwierające się drzwi jednego z pokoi, a w nich kobietę w niebieskim szlafroku.

— Czy mogę prosić panią na chwilę do salonu?

Zawahała się, zawiązała pasek szlafroka i wreszcie wyszła.

Była młoda. Twarz, jeszcze nie umalowana, lśniła nieco.

— Proszę, niech pani wejdzie.

Po czym zwrócił się do Armanda Lachaume:

— Domyślam się, że to pańska żona?

— Tak.

Małżonkowie nie patrzyli na siebie.

— Proszę, niech pani siada.

— Dziękuję.

— Czy pani również nic dziś w nocy nie słyszała?

— Biorę co wieczór proszki nasenne.

— Kiedy dowiedziała się pani, że szwagier nie żyje?

Chwilę patrzyła w próżnię, jakby się zastanawiała.

— Nie patrzyłam na zegarek.

— Gdzie pani wtedy była?

— W swoim pokoju.

— Czy to jest również pokój pani męża?

— Znowu się zawahała.

— Nie.

— Pani pokój ma drzwi na korytarz, prawie naprzeciw pokoju szwagra?

— Tak. Po prawej stronie korytarza są dwa pokoje, mego męża i mój.

— Od jak dawna zajmujecie państwo osobne pokoje?

Armand Lachaume chrząknął, zwrócił się do sędziego śledczego i głosem drżącym, głosem człowieka nieśmiałego, który musi zdobyć się na odwagę, zapytał:

— Nie wiem, czy panu komisarzowi wolno stawiać nam pytania dotyczące spraw osobistych. Jakiś włamywacz zabił dziś w nocy mego brata, a jak dotąd policja zdaje się interesować tylko tym, co myśmy robili i gdzie myśmy byli.

Cień uśmiechu przemknął po ustach Angelota.

— Przypuszczam, że komisarz Maigret przesłuchuje państwa jedynie w charakterze świadków.

— Nie życzę sobie, by niepokojono moją żonę, i prosiłbym nie mieszać jej w to wszystko. Był to bezsilny gniew, a także gniew człowieka, który rzadko uzewnętrznia swoje uczucia; policzki Armanda Lachaume poczerwieniały.

Maigret podjął łagodnie:

— Kto dotychczas był tutaj traktowany jako głowa rodziny, panie Lachaume?

— Jakiej rodziny?

— Powiedzmy, grupy osób, które mieszkają w tym domu.

— To nasza prywatna sprawa. Proszę nie odpowiadać! — zwrócił się do żony.

Maigret zauważył, że Lachaume ani razu nie zwrócił się do żony po imieniu, ale w pewnej sferze było to przyjęte, często przez snobizm.

— Jeśli tak dalej pójdzie, to za chwilę zaczniesz pan dręczyć moich rodziców. Potem urzędników, pracowników...

— Właśnie mam ten zamiar.

— Nie wiem właściwie, jakie są pańskie uprawnienia...

Sędzia śledczy zaproponował:

— Mogę to panu objaśnić.

— Dziękuję. Wolę, aby nasz adwokat był obecny. Sądzę, że mam prawo go wezwać.

Sędzia śledczy zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

— Żaden przepis nie zabrania, aby pański adwokat był obecny. Jednakże raz jeszcze zwracam panu uwagę, że pan i pańska rodzina jesteście przesłuchiwanymi jako świadkowie, nie ma więc w tym wypadku potrzeby wzywać...

— Nie będziemy odpowiadać, póki nie przyjdzie adwokat.

— Jak pan sobie życzy.

— Chcę do niego zatelefonować.

— Gdzie jest telefon?

— W jadalni.

Był to pokój sąsiedni i dwoje starsuszków siedziało tam przed kominkiem, na którym paliły się dwa mizerne polana. Sądząc, że to nowe najście, zrobili ruch, jakby zamierzali wstać i opuścić pokój, ale Armand Lachaume zamknął za sobą drzwi.

— Pani mąż jest, jak się zdaje, bardzo wstrząśnięty.

Spojrzała na komisarza twardo.

— To chyba zrozumiałe, prawda?

— Czy bracia nie byli bliźniakami?

— Jest siedem lat różnicy między nimi.

Jednakże rysy twarzy mieli niemal identyczne, nawet wąsy takie same, cienkie i obwisłe. Z sąsiedniego pokoju dobiegł szmer głosu. Sędzia śledczy nie okazywał ani zniecierpliwienia, ani chęci, by usiąść.

— Czy pani osobiście nikogo nie podejrzewa, nikogo nie posądza...

— Mój mąż już powiedział panom, że będziemy odpowiadać tylko w obecności naszego adwokata.

— Kto to taki?

— Proszę zapytać mego męża.

— Czy pani mąż ma jeszcze więcej rodzeństwa?

Popatrzyła na niego w milczeniu. Zdawała się należeć do jakiegoś innego typu, niż cała reszta tej rodziny. Wyczuwało się, że w innych okolicznościach mogła być ładna, pociągająca, że jest w niej jakaś stłumiona żywotność, którą musi trzymać na wodzy.

Ona jedna nie pasowała do tego domu, jakby wyłączonego z życia i nurtu czasu.

Armand Lachaume powrócił. Znów można było dostrzec dwoje starych, którzy, przed kominkiem, wyglądali jak figury z wosku.

— Za kilka minut tu będzie.

Drgnął, gdyż na schodach rozległy się kroki kilku osób. Maigret uspokoił go:

— To nasi funkcjonariusze przyszli zabrać zwłoki — wyjaśnił. — Bardzo przepraszam, ale pan sędzia śledczy powie panu, że taki jest przepis i że zwłoki muszą być dostarczone do instytutu medycyny sądowej w celu dokonania autopsji.

Najdziwniejsze, że nie wyczuwało się tutaj żadnej rozpacz, tylko jakieś dziwne

przygnębiecie, coś w rodzaju odrętwiałego lęku.

Nieraz już w ciągu swej kariery Maigret znajdował się w podobnych okolicznościach, musiał wdzierać się w życie rodziny, w której została popełniona zbrodnia, nigdy jednak cała atmosfera nie wydawała mu się tak nierealna.

W dodatku ten sędzia śledczy, należący do innego pokolenia, depce mu po piętach, co jeszcze bardziej komplikuje jego sytuację.

— Pójdę do tych ludzi — mruknął. — Trzeba im wydać polecenia...

Nie potrzebowali żadnych poleceń ani rad. Ci ludzie z noszami sami wiedzieli, co mają robić. Maigret tylko się im przyjrzał i podniósł na chwilę prześcieradło, aby jeszcze raz popatrzeć na twarz nieboszczyka.

Spostrzegł teraz w sypialni jakieś boczne drzwi, a gdy je pchnął, znalazł się w pokoju, który był zapewne prywatnym gabinetem Leonarda Lachaume. Panował tu teraz nieład i w powietrzu pełno było kurzu.

Janvier, pochylony nad jakimś meblem, wyprostował się gwałtownie.

— Ach! to pan, szefie...

Otwierał jedną po drugiej szuflady staroświeckiego biurka.

— Znalazłeś coś?

— Nie. Nie podoba mi się ta historia z drabiną.

Maigretowi też się nie podobała. Nie miał jeszcze sposobności powąłęsać się po domu ani wokół niego, ale miał wrażenie, że z tą drabiną coś jest nie w porządku.

— Rozumie pan — ciągnął Janvier — akurat pod tym oknem, w którym stłuczono szybę, są oszklone drzwi. Prowadzą do sklepionej sieni, skąd bez przeszkód można dostać się tutaj. Ta droga nie wymagałaby nawet tłuczenia szyby, ponieważ już była zbita i zastąpiono ją kartonem. Po licha taszczyć przez całe podwórze ciężką drabinę i...

— Tak.

— Czy o n będzie się tu plątał do końca?

— Miał oczywiście na myśli sędziego śledczego.

— Nie mam pojęcia. Możliwe.

Tym razem drgnęli obaj, ktoś bowiem stał w progu, jakaś drobna starowina, nieomal garbata, która patrzyła na nich chmurnie i z niezadowoleniem.

Katarzyna, służąca, o której wspomniał komisarz policji z Ivry. Popatrzyła na obu mężczyzn, na pootwierane szuflady, na stosy papierów i wreszcie, najwyraźniej powstrzymując się, by im nie nawymyślać, mruknęła:

— Pana komisarza Maigreta proszą do salonu.

Janvier zapytał półgłosem:

— Mam dalej robić rewizję, szefie?

— W tej chwili sam nie wiem. Rób, co chcesz.

Poszedł za garbuską, która czekała nań i otworzyła mu drzwi do salonu, gdzie tymczasem towarzystwo powiększyło się o nową osobę; przyszedł adwokat. Przedstawił się:

— Mecenas Radel.

Czy stale będzie sam siebie tak oficjalnie tytułował?

— Bardzo mi miło, panie mecenasie.

Jeszcze jeden młodzik, trochę może starszy od Angelota, ale jednak... W tym domostwie z minionej epoki Maigret spodziewał się spotkać jakiegoś starego, zaniedbanego i szczwanego adwokata.

Radel nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat i prawie równie mało wiedział o Maigrecie, jak sędzia śledczy.

— Panowie, wiem tylko tyle, ile pan Armand Lachaume był uprzejmy powiedzieć mi



przez telefon, i przede wszystkim pragnąłbym usprawiedliwić zachowanie się mego klienta. Jeśli panowie wnukniecie w jego położenie, może potraficie go zrozumieć. Przybyłem tu raczej jako przyjaciel niż jako adwokat, aby wyjaśnić całe to nieporozumienie. Armand Lachaume źle się czuje. Śmierć brata, który był duszą tego domu, wstrząsnęła nim głęboko i nie jest chyba dziwne, że nie znając zwykłych metod policji, protestował przeciwko niektórym pytaniom.

Maigret westchnął, cierpliwie znosząc ten dopust, i ponownie zapalił wygasłą fajkę.

— Będę więc obecny, skoro pan Lachaume tego sobie życzy, przy zadawaniu pytań, jakie panowie uznacie za wskazane postawić, proszę jednak usilnie, aby moja obecność nie była poczytana za jakąś postawę obronną tej rodziny...

Zwrócił się do sędziego śledczego, potem do Maigreta:

— Kogo panowie chcą pytać?

— Panią Lachaume — powiedział komisarz wskazując młodą kobietę.

— Prosiłbym pana jedynie o uwzględnienie, że pani Lachaume jest równie wstrząśnięta, jak jej mąż.

— Chciałbym — podjął znów Maigret — pytać każdego z osobna.

Armand Lachaume zmarszczył brwi. Mecenas Radel powiedział mu coś po cichu i Lachaume zgodził się wyjść.

— Nie wie pani, czy szwagier otrzymywał jakieś listy pogrózkami?

— Na pewno nie.

— Powiedziała by pani?

— Przypuszczam.

— Pani, czy komuś innemu z członków rodziny?

— Powiedziała by nam wszystkim.

— Rodzicom też?

— Raczej nie, ze względu na ich wiek.

— A więc powiedziałyby pani i pani mężowi?

— To byłoby naturalne.

— Czy stosunki między braćmi były zażyłe, szczere?

— Bardzo zażyłe, bardzo szczere.

— A z panią?

— Nie wiem, o co panu chodzi?

— Jakie były właściwie stosunki pani ze szwagrem? — Przepraszam, że się wtrącam — odezwał się mecenas Radel — ale tak postawione pytanie może wydawać się tendencyjne.

Myślę, panie Maigret, że nie leży w pana intencji insynuowanie...

— Niczego absolutnie nie insynuuję. Pytam po prostu „panią Lachaume, czy była w dobrych stosunkach ze szwagrem.

— Oczywiście — odpowiedziała.

— W serdecznych?

— Jak chyba zwykle bywa w rodzinie.

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— No... dziś rano...

— Czy chce pani powiedzieć, że dziś rano widziała go pani nieżywego w jego pokoju?

Skinęła głową potakująco.

— A kiedy widziała go pani ostatni raz żywego?

— Wczoraj wieczorem.

— O której?

Mimo woli rzuciła krótkie spojrzenie na adwokata.

— Było chyba około pół do dwunastej.

— Gdzie to było?

— Na korytarzu.

— Na tym korytarzu, z którego wchodzi się do pani pokoju i do jego?

— Tak.

— Pani szła z tego salonu?

— Nie.

— Czy była pani w towarzystwie męża

— Nie. Wychodziłam sama.

— Czy pani mąż był w domu?

— Tak. Mało wychodzi. Zwłaszcza od czasu, gdy miał zapalenie opłucnej. Zawsze był słabego zdrowia i...

— O której wyszła pani z domu?

Zwróciła się do adwokata:

— Czy muszę odpowiedzieć?

— Radziłbym pani, chociaż pytania te dotyczą jedynie pani osobistego życia i nie ulega wątpliwości, że z tragedią nie mają nic wspólnego.

— Wyszłam około szóstej.

— Wieczorem?

— Oczywiście, że nie o szóstej rano.

— Może pan mecenas zezwoli pani powiedzieć nam, co pani robiła do wpół do dwunastej?

— Jadłam kolację na mieście.

— Sama?

— To moja sprawa.

— A potem?

— Bytem w kinie.

— Gdzie?

— Na Champs–Elysées. Gdy wróciłam, w domu była już ciemno, przynajmniej od strony ulicy. Weszłam, na korytarz na górze, szwagier uchylił drzwi swego pokoju.

— Czekał na panią?

— Nie widzę powodu. Miał zwyczaj czytywać do późna małym gabinecie obok swojej sypialni.

— Wyszedł więc z gabinetu?

— Nie, z sypialni,

— Jak był ubrany?

— W szlafroku. W piżamie i w szlafroku. Powiedział: I „Ach, to Paulette...” A ja powiedziałam: „Dobry wieczór, Leonardzie”. — „Dobry wieczór...” To wszystko.

— Każde z was weszło do swego pokoju?

— Tak.

— Mówiła pani o tym swemu mężowi?

— Nie było o czym mówić.

— Czy pokoje państwa są połączone?

— Tak. Ale drzwi pomiędzy nimi są prawie stale zamknięte.

— Na klucz?

Adwokat wtrącił się:

— Myślę, panie komisarzu, że pan przesadza.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami ze znużeniem.

— Nie, nie na klucz — powiedziała wzgardliwym tonem.

— Więc pani nie widziała się z mężem?

— Nie. Rozebrałam się i położyłam od razu.

— Czy pani ma własną łazienkę?

— Ten dom jest stary. Jest tylko jedna łazienka na całe piętro, na końcu korytarza,

— Pani tam chodziła?

— Oczywiście. Czy mam udzielić bliższych szczegółów?

— A nie zauważyła pani, czy w pokoju szwagra jeszcze się świeciło?

— Widziałam światło w szparze pod drzwiami.

— Nic pani nie słyszała?

— Nie.

— Czy szwagier zwierzał się pani czasem?

— To zależy, co pan nazywa zwierzeniami.

— Zdarza się, że mężczyzna woli opowiedzieć pewne sprawy kobiecie niż bratu czy na przykład rodzicom. Bratowa jest jednocześnie osobą z rodziny i kimś obcym.

Słuchała bez zniecierpliwienia.

— Leonard Lachaume, wdowiec od wielu lat, nie opowiadał pani o swych przygodach z kobietami?

— Nie wiem nawet, czy je w ogóle miał.

— Często wychodził?

— Bardzo rzadko.

— Czy pani wiedziała, gdzie bywa?

— Nie obchodziło mnie to.

— Jak słyszałam, jego syn ma dwanaście lat.

— Skończył dwanaście w ubiegłym miesiącu.

— Czy Leonard zajmował się synem?

— Ani mniej, ani więcej niż inni ojcowie, którzy pracują. Leonard pracował dużo i nieraz po obiedzie przesiadywał jeszcze w swoim gabinecie.

— Pani teściowa jest prawie bezwładna, prawda?

— Chodzi tylko z laską, a ze schodów trzeba ją sprowadzać.

— Teść również nie jest zbyt rześki.

— Ma siedemdziesiąt osiem lat.

— Służąca, sądząc z tego, co widziałem, także nie jest zwawa. Jeśli dobrze zrozumiałem, chłopiec mieszka w lewym skrzydle, na drugim piętrze, razem z trojgiem starców.

Zaczęła:

— Jean–Paul...

Po czym rozmyśliła się i umilkła,

— Chciała pani powiedzieć, że Jean–Paul, bratanek pani...

— Nie wiem już, co chciałam powiedzieć.

— Od jak dawna chłopiec sypia na drugim piętrze?

— Od niedawna.

— Od lat?... od miesięcy?... od tygodni?...

— Mniej więcej od tygodnia.

Maigret był przekonany, że powiedziała to niechętnie, i adwokat też tak to zrozumiał, gdyż wtrącił się natychmiast:

— Czy nie mógłby pan, panie komisarzu, pytać o te rzeczy kogo innego? Pani Lachaume przeżyła ciężki ranek i nawet nie miała czasu się ubrać. Przypuszczam, że mąż jej byłby bardziej odpowiedni do...

— W samej rzeczy, panie mecenasie, skończyłem już z panią, przynajmniej na razie.

Chyba że pan sędzia śledczy miałby jakieś pytania.

Sędzia zaprzeczył tylko lekkim ruchem głowy.

— Przepraszam, że zająłem pani czas.

— Czy życzy pan sobie, abym przysłała tu męża?

— Nie teraz. Wolałbym zadać kilka pytań tej starej służącej... Jak ona się nazywa?

— Katarzyna. Już przeszło czterdzieści lat jest u moich teściów i liczy sobie prawie tyle lat, co oni. Zobaczę, czy jest w kuchni.

Wyszła, a adwokat chciał coś powiedzieć, lecz rozmyślił się, zapalił papierosa, postukawszy nim uprzednio o swoją srebrną papierośnicę. Poczęstował też sędziego, który powiedział:

— Dziękuję. Nie palę.

Maigretowi chciało się pić, ale nie śmiał o nic poprosić i pragnął jak najprędzej opuścić już ten dom.

Upłynęła długa chwila, nim usłyszano drobne kroki, a następnie jakby skrobanie do drzwi:

— Proszę!

Była to stara Katarzyna, która przyglądała się im kolejno wzrokiem jeszcze bardziej ponurym niż niedawno w gabinecie i powiedziała zaczepnie:

— Czego panowie chcą ode mnie? A przede wszystkim, jak panowie będą tak dalej kopcić w mieszkaniu, to pan Feliks znowu dostanie ataku astmy.

Cóż było robić? Maigret westchnął i pod ironicznym spojrzeniem sędziego odłożył fajkę na okrągły stół.

### **ROZDZIAŁ 3**

Coraz dotkliwiej skrępowany zachowaniem się sędziego śledczego i obecnością adwokata, Maigret niepewnie, jakby przeprowadzał próbne badanie terenu, rozpoczął:

— Podobno już czterdzieści lat pracuje pani w tym domu?

Myślał, że ją tym udobrucha, że sprawi jej przyjemność. Tymczasem zaskrzeczała:

— Kto panu to powiedział?

I gdy zastanawiał się, czy przypadkiem role się nie odwróciły i czy to nie on będzie odpowiadał na jej pytania, ciągnęła dalej:

— Nie czterdzieści, tylko pięćdziesiąt lat jestem tutaj. Nastałam do służby, jak mojej biednej pani ledwo co minęła dwudziestka i właśnie spodziewała się pana Leonarda. Błyskawiczny rachunek. Stara pani Lachaume, choć zdawała się rówieśniczką męża, nie miała więcej niż siedemdziesiąt lat. Jak wyglądał ten dom, gdy Katarzyna, jako młoda służąca, przybyła tu zapewne wprost ze wsi, i jej młoda pani oczekiwała swego pierwszego dziecka?

Dziwaczne pytania cisnęły się Maigretowi do głowy.

W owych odległych czasach musiała tu być jakaś inna para starych Lachaume'ów, gdyż na miedzianej tablicy było wyryte: „Firma założona w r. 1817”. Czyli wkrótce po bitwie pod Waterloo.

Może niektóre meble w tym salonie do dziś stoją na swych dawnych miejscach, na przykład ta empirowa kanapa, która byłaby bardzo piękna, gdyby przy odnawianiu nie pokryto jej jasnobłękitnym pluszem... Polana płonęły pewnie we wszystkich marmurowych kominkach. Następne pokolenie założyło tu centralne ogrzewanie, z którego teraz nie korzystano przez oszczędność czy może z powodu uszkodzenia kotła.

Uwagę Maigreta przykuł piecyk, mały, okrągły piecyk z nadszczerbionymi drzwiczkami, taki jakie widuje się nieraz na wiejskich stacyjkach i w niektórych biurach.

Wszystko tu się kończyło, rzeczy i ludzie. Rodzina i dom, zamknięte w sobie, przyjęły wrogą postawę.



Stara Katarzyna powiedziała półgębkiem coś, co dobitniej niż wszystko inne podkreślało odległość tamtej epoki. Mówiąc o niemowlęciu, jakim był wówczas Leonard, oznajmiła z dumą:

— To ja go wykarmiłam!

A więc przybyła do Paryża nie jako służąca, lecz jako mamka, i Maigret mimo woli spojrział na jej płaską pierś i czarne, brudne, luźno zwisające spódnice.

Była bowiem brudna. Wszystko tu było brudne lub wątpliwej czystości, zużyte, nieudolnie naprawione.

Zajęty tymi myślami, Maigret zadał idiotyczne pytanie, które młody sędzia Angelot powtarzał potem swym kolegom:

— Pana Armanda też pani karmiła?

Odpowiedź padła natychmiast:

— A niby skąd miałam mieć pokarm?

— Czy państwo Lachaume mają jeszcze inne dzieci?

— Pannę Weronikę.

— Nie mieszka tutaj?

— Już kawał czasu.

— Przypuszczam, że dzisiejszej nocy nic pani nie słyszała?

— Nie.

— O której godzinie pan Leonard miał zwyczaj wstawać?

— Różnie, jak mu się podobało.

— Czy zna pani jakichś jego przyjaciół, znajomych?

— Nigdy nie wtrącałam się do prywatnych spraw moich państwa i pan by też lepiej zrobił, żeby się tym nie zajmował. Jesteście tu po to, żeby znaleźć mordercę, który zabił pana

Leonarda, a nie żeby wtykać nos w rodzinne sprawy.

Odwróciła się i skierowała ku drzwiom jadalni.

W pierwszej chwili chciał ją zatrzymać. Ale po co? Jeśliby miał ją dłużej pytać, powinien by to zrobić, gdy nie będzie ani sędziego śledczego, ani adwokata, którzy przyglądają mu się z milczącą uciechą.

Zabrnął, trudno. Jednak on powinien mieć ostatnie słowo.

Czy wezwać starego Feliksa Lachaume i jego na wpół sparaliżowaną żonę? Byłoby logiczne przepytac ich z kolei, lecz bał się, że znowu nie okaże się na wysokości zadania.

Po odejściu służącej zapalił fajkę i wyszedł do hallu, gdzie przez okno przyjrzał się długiej drabinie leżącej ukośnie na podwórzu. Jak się spodziewał, sędzia” i adwokat przyszli za nim.

Raz już w swej karierze musiał pracować w obecności świadka pilnie obserwującego każdy jego ruch, w sprawie zresztą bez porównania mniej przykrej. Niejaki inspektor Pyke, ze Scotland Yardu, został upoważniony do asystowania mu w prowadzonym przez niego śledztwie, by zapoznać się z jego metodami, i Maigret rzadko kiedy w życiu czuł się tak nieswojo, jak wówczas.

Zbyt wiele ludzi wyobraża sobie, że te sławetne metody są trochę jak ustalony raz na zawsze przepis kucharki, który należy stosować ściśle co do joty.

— Przypuszczam, że chciałby pan teraz przepytac Armanda Lachaume?

Powiedział to adwokat. Maigret, sam nie bardzo wiedząc, co ma robic, spojrzal na niego, po czym potrzasnal glowa.

— Nie. Chciałbym sobie obejrzeć parter.

— Nie weźmie mi pan za złe, jeśli będę panu towarzyszył? Wobec tego, że moi klienci...

Maigret wzruszył ramionami i zaczął schodzić po schodach tego domu, który ongi był piękną i wytworną patrycjuszowską siedzibą.

Na dole, pchnąwszy na chybił–trafił jakieś dwuskrzydłowe drzwi, znalazł się w obszernym salonie pogrążonym w mroku, gdyż okiennice były pozamykane. Uderzył go zapach stęchlizny w tym dawno widać nie przewietrzanym pokoju. Poszukał wyłącznika i dwie żarówki z dwunastu zapaliły się w kryształowym świeczniku, którego liczne ozdoby zwisały poobtłukiwane i ponadrywane.

W jednym kącie stał fortepian, w drugim staroświecki klawesyn, a dywany pozwijane były pod ściany. Na środku leżały stosy pism, teczki z zielonej tektury i białe blaszane puszkki od biszkoptów.

Jeśli nawet kiedyś grywano i tańczono w tym salonie, to w każdym razie teraz od dawna już tu nie zaglądano; jedwabne tapety, pokrywające ściany, poodklejały się w kilku miejscach.

Przez uchylone drzwi widać było bibliotekę, której półki świeciły pustkami; stało na nich trochę książek w czerwonej oprawie, pochodzących ze szkolnych nagród, oraz kilka innych, bez okładek, jak to się często spotyka w skrzynkach ulicznych handlarzy.

Czy resztę książek sprzedano? Bardzo możliwe. Meble zapewne także, bo nie było tu nic, tylko w następnym pokoju, jeszcze bardziej wilgotnym od innych, stał bilardowy stół ze spleśniałym sukniem.

Głos Maigreta rozległ się jakoś dziwnie, niby w grobowcu, gdy powiedział bardziej do samego siebie niż do sędziego i adwokata, którzy go nie odstępowali:

— Przypuszczam, że biura są po drugiej stronie tej sieni.

Przechodząc przez sień usłyszeli głosy z ulicy, gdzie policjanci utrzymywali w rozsądnej odległości grupkę gapiów.

Naprzeciwko salonu natrafili wreszcie na pokój prawie żywy, gabinet, który przypominał gabinet, mimo że staroświecki. Na ścianach pokrytych boazerią wisały dwa olejne portrety z

ubiegłego stulecia oraz fotografie, z których najpóźniejsza przedstawiała chyba Feliksa Lachaume, gdy miał pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Galeria rodzinna Lachaume'ów, w której Leonard nie miał jeszcze swej podobizny.

Meble utrzymane były w stylach gotyckim i renesansowym, jak to się widuje jeszcze w bardzo starych paryskich biurach handlowych. W gablocie piętrzyły się przeróżne firmowe pudełka do biszkoptów.

Maigret zapukał do drzwi na prawo.

— Proszę! — zawołano.

Znaleźli się w innym pokoju biurowym, również mocno staroświeckim, tylko bardziej nieporządnym, gdzie jakiś mężczyzna około pięćdziesiątki pochylał łysą i lśniąca czaszka nad wielką księgą.

— Pan jest zapewne księgowym?

— Justyn Brême, księgowy, tak.

— Komisarz Maigret.

— Wiem.

— Pan Angelot, sędzia śledczy, i mecenas Radel, adwokat państwa Lachaume.

— Bardzo mi miło.

— Przypuszczam, panie Brême, że wiadomo panu, co wydarzyło się dzisiejszej nocy?

— Proszę, niech panowie siadają.

Naprzeciwko stało drugie biurko, przez nikogo nie zajęte.

— Czy to jest biurko pana Armanda Lachaume?

— Tak, proszę pana. Firma Lachaume należy do tej rodziny od wielu pokoleń, a nie tak dawno temu pan Feliks pracował jeszcze w sąsiednim gabinecie, który przed nim zajmowali jego ojciec i dziad.

Brême był tęgi i niemłody. Przez otwarte drzwi widać było trzeci pokój, w którym pracował jakiś człowiek ubrany w szarą bluzę i maszynistka w średnim wieku.

— Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Maigret wskazał na pancerną kasę starego typu, która mimo swej wagi i objętości nie ostałaby się nawet początkującemu włamywaczowi.

— W tej kasie trzymacie wpływającą gotówkę?

Pan Brême wstał i przede wszystkim zamknął drzwi do sąsiedniego pokoju, po czym wrócił z zafrasowaną twarzą i łypnął okiem na adwokata, jakby zasięgał jego rady.

— Jaką wpływającą gotówkę? — zapytał wreszcie, zarazem naiwnie i chytrze.

— Pan zatrudnia ludzi. Więc dokonuje pan wypłat...

— Niestety! Nie zdarza się to zbyt często.

— Pan powinien mieć fundusz obrotowy...

— Powinien bym, panie komisarzu! Niestety, od dłuższego już czasu żyjemy zaciągając lichwiarskie pożyczki i na przykład dziś nie ma w tej kasie więcej niż dziesięć tysięcy franków. A i te muszę zaraz przelać jako zaliczkę na pewien rachunek.

— Czy robotnicy i robotnice wiedzą o stanie przedsiębiorstwa?

— Nieraz muszą czekać na wypłatę po kilka dni, a czasem otrzymują tylko część należności.

— Więc może to komuś z nich przyszło do głowy okraść dom?

Pan Brême roześmiał się cicho z tego pomysłu.

— Na pewno nie.

— A ludzie z tej dzielnicy orientują się w sytuacji firmy?

— Sklepiarz, rzeźnik, mleczarka po trzy, cztery razy upominają się o pieniądze...

Ta indagacja była bardzo nieprzyjemna. Przypominała nieprzyzwoite obnażanie, a jednak

była konieczna.

— Czy Lachaume'owie posiadają jakiś osobisty majątek?

— Żadnego.

— Ile, według pana, mogło być w portfelu pana Leonarda?

Księgowy zrobił nieokreślony ruch.

— Niewiele.

— A jednak przedsiębiorstwo nadal działa — stwierdził Maigret.

— Pan Brême znów spojrzał na młodego adwokata.

— Wydaje mi się — wtrącił Radel — że śledztwo, zamiast zająć się mordercą, coraz bardziej skupia się na moich klientach.

Maigret odciął się:

— Mówi pan, mecenasie, jak stara Katarzyna. Czy mógłbym wykryć zbrodniarza, jeśli nie dojdę przyczyn, dla których zbrodnię popełniono? Mówią nam tutaj, że chodziło o rabunek...

— Świadczy o tym drabina...

Komisarz mruknął z powątpiewaniem:

— Tak! I zniknięcie portfelu! I fakt, że dotychczas nie odnaleziono broni...

Nie usiadł, podobnie jak adwokat i sędzia śledczy, mimo zaproszeń księgowego, który stojąc zerkał na wyściełane krzesło.

— Niech mi pan powie, panie Brême, ostatecznie musi pan jednak płacić ludziom, żeby nie przerywali pracy...

— Za każdym razem jest to prawdziwy cud.

— A skąd się biorą pieniądze na ten cud?

Księgowy zaczynał objawiać zdenerwowanie.

— Otrzymywałem je od pana Leonarda.

— W gotówce?

Wtrącił się mecenas Radel:

— Nie jest pan obowiązany odpowiadać, panie Brême.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa panowie i tak się tego dowiedzą, przeglądając książki handlowe czy zwracając się do banku. Pieniądze otrzymywałem głównie w postaci czeków...

— Chce pan powiedzieć, że pan Leonard miał konto w banku, niezależnie od konta firmy Lachaume, i z tego właśnie konta czerpał na pokrycie czeków, gdy sytuacja stawała się krytyczna?

— Nie. Było to konto pani Lachaume.

— Matki?

— Pani Paulette.

Maigret usiadł. Nareszcie czegoś się dowiedział.

— Niech pan siada na swoim miejscu, panie Brême. Proszę odpowiadać mi spokojnie. Od jak dawna pani Paulette, jak pan ją nazywa, to znaczy żona Armanda Lachaume, jest opatrznością tego domu?

— Można powiedzieć, że odkąd tu się zjawiała.

— Kiedy się pobrali?

— Sześć lat temu. W dwa lata po śmierci pani Marceliny.

— Przepraszam, a kto to pani Marcelina?

— Żona pana Leonarda...

— A więc sześć lat temu Armand Lachaume poślubił Paulette... Paulette — jak?

— Paulette Zuber.

— Czy była bogata?

— Bardzo.

— Czy ma jakąś rodzinę?

— Była jedynaczką, a ojciec jej zmarł pięć miesięcy temu. Matki w ogóle nie pamięta.

— Kim był ten Zuber?

Nazwisko było jakieś znane i Maigretowi zdawało się, że słyszał je gdzieś w kołach zawodowych.

— Fryderyk Zuber, handlarz skór.

— Miewał kłopoty, prawda?

— Przez pewien czas czepiał się go urząd skarbowy. Robiono mu również zarzuty po wojnie...

— Wiem!

O Zuberze było w swoim czasie głośno. Zaczął od tego, że jeździł bryczuszką od wsi do wsi i skupował skóry garbowane i nie garbowane, a potem założył skład skór właśnie w Ivry, zdaje się, w pobliżu firmy Lachaume.

Już przed wojną interesy jego kwitły i Zuber posiadał liczne samochody ciężarowe, a także składy na prowincji. Później, w dwa czy trzy lata po Wyzwoleniu, rozeszły się pogłoski, że zbił na wojnie znaczny majątek, i przebąkiwano, że grozi mu więzienie.

Przyczyną zainteresowania prasy była w dużej mierze niezwykłość tej postaci, człowieka niepokaźnego, źle ubranego, który mówił po francusku z silnym obcym akcentem i ledwo umiał pisać i czytać. Obracał setkami tysięcy, niektórzy twierdzili, że milionami, i utrzymywano, że faktycznie ma w rękę, bezpośrednio lub przez osoby podstawione, monopol na nie garbowane skóry.

Zajmował się nim wówczas nie Maigret, lecz Wydział Finansowy. Wreszcie wszystko ucichło i Maigret nie wiedział nawet, czym się to skończyło.



— Na co Zuber umarł?

— Na raka, operowano go w klinice Świętego Józefa.

— Jeśli dobrze rozumiem, to dzięki jego pieniądzom przedsiębiorstwo Lachaume idzie jako tako?

— Niezupełnie. Wychodząc za mąż pani Paulette wniosła poważny posag...

— Który został zainwestowany w biszkopty Lachaume?

— Mniej więcej. Powiedzmy, że ratowano się tymi pieniędzmi za każdym razem, gdy zaszła potrzeba.

— A potem, gdy ten posag się wyczerpał? Bo przecież wyczerpał się szybko?

— Tak.

— Jakże sobie wówczas radzono?

— Pani Paulette udawała się do ojca...

— Nie bywał tutaj?

— Nie przypominam sobie, bym go widział. Jeśli przychodził, to chyba wieczorami, na górę, ale nie jestem tego pewien.

— Naprawdę, panie komisarzu, nie widzę, do czego pan zmierza — znowu zaprotestował adwokat.

Sędzia natomiast wydawał się bardzo zaciekawiony i w jego jasnych oczach błyszczało nawet ożywienie.

— Ja też nie wiem — wyznał Maigret. — Widzi pan, mecenasie, na początku każdego śledztwa jest się w ciemnościach i można tylko iść po omacku. A więc Fryderyk Zuber swoją jedyną córkę wydaje za młodszego Lachaume, Armanda, wyposażając ją wspaniale. Czy pan zna sumę posagu?

— Protestuję.

Radel, oczywiście, znowu nie wytrzymał.

— Dobrze. Nie nalegam. Biskopcy zjadły posag. Potem wysyłano od czasu do czasu panią Paulette do ojca, którego tu nie przyjmowano.

— Pan Brême nie powiedział tego.

— A więc prostuję: którego nie przyjmowano lub który nie był w tym domu uważany za kogoś swojego. Tata Zuber bulił...

Maigret stawał się wulgarny na znak protestu przeciw obecności sędziego i młodego adwokata.

— Potem Zuber umarł. Czy Lachaume'owie byli na pogrzebie?

Pan Brême uśmiechnął się blado.

— To nie moja sprawa...

— A pan był?

— Nie.

— Przypuszczam, że istnieje jakaś intercyza. Taki szczywany lis jak Zuber nie mógł...

— Małżeństwo zostało zawarte z wyłączeniem wspólnoty majątkowej.

— I oto kilka miesięcy temu pani Paulette Lachaume odziedziczyła majątek po ojcu. Tak?

— Tak.

— I w jej ręku znajduje się teraz klucz do pieniędzy? Do niej trzeba się zwracać, gdy w kasie nie ma gotówki na zapłacenie dostawcom czy na pensje dla pracowników?

Radel, natrętny jak mucha-plujka, wtrącił:

— Nie widzę, do czego pan zmierza...

— Ja także nie, mecenasie. Jednak również nie widzę, do czego doprowadziłoby mnie szukanie po Paryżu jakiegoś włamywacza tak głupiego, by wlaził do domu, w którym nie ma pieniędzy, posługując się przy tym ciężką drabiną i rozbijając okno na piętrze, skoro na

parterze są oszklone drzwi, a wszystko po to, by dostać się do pokoju śpiącego człowieka, zabić go głośnym wystrzałem i uciec z prawie pustym portfelem.

— Tego pan nie wie.

— To prawda! Leonard Lachaume mógł wczoraj wieczorem poprosić bratową o pieniądze.

Niemniej pozostaje faktem, że tu, w tym biurze, jest kasa pancerna, wprowadzie monumentalna, ale z dziecinnie prostym zamkiem, której nie tknięto. I niemniej pozostaje faktem, że w chwili zbrodni co najmniej sześć osób było w domu.

— Widziano włamania jeszcze dziwniejsze.

— To prawda. Drabina stała na podwórzu i aby dostać się do niej, trzeba było przeskoczyć mur wysokości, jeśli się nie mylę, około trzech i pół metra. I wreszcie o parę kroków od pokoju, w którym padł strzał, dwie osoby spały i nic nie słyszały.

— Niedaleko stąd jest tor kolejowy, po którym niemal bez przerwy kursują pociągi.

— Nie przeczę temu, panie Radel. Moim obowiązkiem jest szukanie prawdy i właśnie jej szukam. Pana obecność skłania mnie nawet do szukania jej niezbyt daleko, rzadko się bowiem zdarza, aby rodzina osoby zamordowanej wzywa na pomoc adwokata, nim jeszcze policja zdąży zapytać ją o cokolwiek. Chciałbym zadać panu pytanie, na które zapewne pan nie odpowie. Armand Lachaume już przy mnie telefonował do pana, by pan tu przyszedł  
Gdzie pan mieszka, mecenasie?

— Na placu de l’Odeon. To dwa kroki stąd.

— Rzeczywiście, przyszedł pan w ciągu dziesięciu minut. Nie okazał pan zbyt wielkiego zdziwienia. Nie pytał pan wiele. Czy aby na pewno nie był pan już przedtem formowany o tym, co się tu zdarzyło tej nocy?

— Stanowczo protestuję przeciw...

— Przeciw czemu? Nie posądzam przecież pana o to, że wszedł pan do domu nocą, przez

okno. Zastanawiam się tylko, czy nie było z rana, bardzo wcześnie, pierwszego telefonu, by powiadomić pana i prosić o radę...

Wobec pana sędziego śledczego zastrzegam sobie prawo wyciągnięcia konsekwencji z podobnego oskarżenia.

— To nie jest oskarżenie, mecenasie. Zwyczajne pytanie. I, jeśli pan woli, pytanie, które zadaję samemu sobie.

Maigret był cały najeżony.

— A co do pana, panie Brême, to bardzo panu dziękuję. I Zapewne jeszcze tu powrócę, żeby zapytać pana o to i owo. A pan sędzia śledczy zadecyduje, czy to biuro trzeba opieczętować...

— A jak pan sądzi?

Sędzia pozostawiał decyzję Maigretowi.

— Wobec tego, co usłyszeliśmy od pana Breme'a, nie uważam tego za konieczne, jest bowiem prawdopodobne, że książki nam nic nie powiedzą.

Rozejrzał się za swym kapeluszem i spostrzegł, że zostawił go na górze.

— Pójdę, przyniosę go panu — zaofiarował się sędzia.

— Niech się pan nie fatyguje.

Maigret wchodząc na schody miał wrażenie, że ktoś jest w pobliżu, a gdy spojrzał w górę, zobaczył twarz Katarzyny przechylonej przez poręcz. Wyglądało to, jakby czatowała na niego.

— Szuka pan swego kapelusza?

— Tak. Czy nie ma tam mego inspektora?

— Już dawno sobie poszedł. Niech pan łapie!

Nie dopuszczając, by wszedł na górę, rzuciła mu pilśniowy kapelusz, a gdy podniósł go ze

słomianki — splunęła.

Adwokat nie wyszedł z nim na ulicę. Z powodu deszczu, który wciąż padał, równie zimny i smutny jak rano, pozostało zaledwie paru gapiów i jeden policjant wystarczał, by utrzymać ich w odpowiedniej odległości. Jakimś cudem gazety nic jeszcze nie rozgłosiły.

Dwa czarne samochody, Policji Śledczej i sędziego śledczego, stały wciąż przy krawężniku.

— Wraca pan na Quai des Orfèvres? — spytał sędzia otwierając drzwiczki swojej limuzyny.

— Nie wiem jeszcze. Czekam na Janvier, powinien być tu gdzieś w pobliżu.

— Dlaczego chce pan czekać na niego?

— Bo nie umiem prowadzić tej maszyny — odpowiedział prostodusznie Maigret wskazując na policyjny 4 CV.

— Pozwoli pan, że pana podwiozę?

— Dziękuję. Wolę poczekać i pooddychać sobie trochę tutejszym powietrzem.

Przewidywał, że sędzia by go wypytywał, może robiłby mu wymówki, doradzał ostrożność, umiarkowanie.

— Bardzo bym prosił, panie komisarzu, żeby pan do mnie zadzwonił koło południa.

Chciałbym być informowany o przebiegu tej sprawy. Chcę śledzić ją dokładnie.

— Wiem. Do widzenia, panie sędzio.

Kilkoro ciekawskich przyglądało się im, a jakaś kobieta, zatulając czarną chustkę na piersiach, szepnęła do drugiej:

— To ten sławny Maigret.

— A ten drugi?

— Nie wiem.

Maigret nastawił kołnierz palta i ruszył chodnikiem. Za ledwie uszedł pięćdziesiąt metrów, gdy ktoś stojący w drzwiach restauracyjki „U przyjaciół z bulwaru”, skinął na niego: Janvier. Nie było tam nikogo prócz bufetowej za ladą; gruba, rozczochrana baba, z daleka, poprzez drzwi do kuchni, doglądała na płycie garnka, w którym gotowało się coś, co silnie pachniało cebulą.

— Co pan sobie życzy, szefie? — I Janvier dodał: — Ja zamówiłem grog. W taką pogodę nietrudno o grypę.

Maigret też zamówił grog.

— Wykryłeś co?

— Sam nie wiem. Uważam, że nieźle byłoby opieczętować ten pokój, nim odejdziemy.

— Dzwoniłeś do doktora Paul?

— Jeszcze pracuje. Jeden z jego asystentów powiedział mi, że w żołądku znaleziono pewną ilość alkoholu. Mają ustalić jego proporcję we krwi.

— Nic więcej?

— Wyjęli kulę i przekazali ją ekspertowi. Według doktora to mały kaliber, prawdopodobnie 6,35. Co pan o tym myśli, szefie?

Bufetowa wyszła, by drewnianą łyżką pomieszać w garnku.

— Wolę takie sprawy, jak ta z rana.

— Kanonika?

— Tacy przynajmniej nie zabijają.

— Nie wierzy pan w tę historię o włamaniu?

— Nie.

— Ja też nie. Ludzie z Zakładu Kryminalistyki szukali odcisków na drabinie i na szybie, ale nic nie znaleźli. Na drabinie są tylko dawne ślady palców majstra.

— To o niczym nie świadczy. Facet mógł być w rękawiczkach.

— Badałem mur w ogrodzie.

— No i co?

— Na wierzchu są wmurowane potłuczone butelki. W niektórych miejscach niedaleko domu leżą porozbijane kawałki szkła. Zrobiłem zdjęcie.

— Po co?

— Widzi pan, szefie, gdy ktoś ma zamiar się wdrapywać, przygotowuje sobie drogę. Jeśli wie, że mur najeżony jest kawałkami szkła, przynosi stary worek lub kawałek deski. Wtedy znajdujemy szkło pogniecione w charakterystyczny sposób. A tutaj szkło jest pobite drobno, jakby uderzeniami młotka.

— Pytałeś sąsiadów?

— Nic nie słyszeli. Każdy mi powtarza, że pociągi robią piekielny hałas i że trzeba całych lat, żeby się do tego przyzwyczaić. Gdy zauważyłem, że na pierwszym i drugim piętrze nie ma okiennic, poszedłem popytać marynarzy z barki, którą, jak pan widzi, właśnie tam rozładowują. Chciałem wiedzieć, czy któryś z nich nie zauważył po północy światła w tym domu. Jak się tego spodziewałem, spali. Ci ludzie kładą się i wstają bardzo wcześnie. Ale jedna kobieta powiedziała mi coś, co mogłoby być ciekawe. Ubiegłej nocy belgijski statek zakotwiczył koło nich i odpłynął dziś o świcie. Nazywa się „Notre Dame” i płynie do przedsiębiorstwa młynarskiego w Corbeil. Wczoraj były urodziny patrona. Ludzie z innej barki, również belgijskiej, zakotwiczonej nieco wyżej, spędzili część nocy na Notre Dame” i był wśród nich facet z akordeonem.

— Wiesz, jak się nazywa ta druga barka?

— Nie. Według tej kobiety, ta barka również odpłynęła.

Maigret zawołał bufetową i zapłacił za dwa grogi.

— Dokąd idziemy? — zapytał Janvier.

— Najpierw pojeździmy sobie po dzielnicy. Chciałbym przypomnieć sobie tu parę rzeczy.

Mały czarny samochód przejechał zaledwie paręset metrów sąsiednimi ulicami.

— Zatrzymaj. To tu.

Zobaczyli długi popękany mur, nie brukowany dziedziniec, drewniane i murowane budynki, ażurowe z otworami na wylot, jak składy do suszenia tytoniu. Ponad wejściem był napis:

F. Zuber

Skóry garbowane i surowe

A poniżej, znacznie świeższymi, jaskrawożółtymi literami:

Obecnie

Dawid Hirszfeld

Janvier, który nie wiedział, o co chodzi, trzymał stopę na sprzęgle.

— Dojna krowa Lachaume'ów od sześciu lat. Potem ci wszystko wyjaśnię.

— Mam zaczekać?

— Tak. Wpadnę tylko na chwilkę.

Bez trudu odnalazł biuro, odczytując szyldzik nad najmniejszym ze wszystkich budynków, raczej barakiem, w którym maszynistka stukała na maszynie do pisania, przy piecyku przypominającym piecyki na bulwarach.

— Czy jest pan Hirszfeld?

— Nie. Wszedł do rzeźni. Pan w jakiej sprawie? Pokazał swą legitymację policji śledczej.

— Czy pani pracowała tu jeszcze za czasów Zuber'a?

— Nie. Pracowałam zawsze tylko u pana Hirszfelda.

— Jak dawno pan Zuber odsprzedał swoje przedsiębiorstwo panu Hirszfeldowi?



— Chyba z rok temu, gdy miał iść do kliniki.

— Znała go pani?

— Przepisywałam akt sprzedaży.

— W jakim był wieku?

— Trudno było określić jego wiek, bo był już bardzo chory i bardzo zmizerowany.

Ubranie wisiało na nim, a blady był jak ściana. Wiem, że nie miał jeszcze pięćdziesięciu ośmiu lat.

— Czy widziała pani kiedy jego córkę?

— Nie. Tylko o niej słyszałam.

— Przy jakiej okazji?

— Gdy obaj panowie omawiali warunki sprzedaży. Pan Zuber nie robił sobie złudzeń co do swego stanu zdrowia. Wiedział, że ma przed sobą kilka miesięcy, najwyżej rok życia.

Doktor powiedział mu to otwarcie. Dlatego właśnie wolał dokonać aktu darowizny ciepłą ręką, pozostawiając sobie tylko to, co zaoszczędził na wielkich kosztach podatku spadkowego, by opłacić klinikę i lekarzy.

— Czy może mi pani podać sumę?

— Chodzi panu o to, ile pan Hirszfeld mu zapłacił?

Maigret skinął głową potakująco.

— Tyle było o tym gadania w kręgach branżowych, że nie sędzę, bym popełniała niedyskrecję. Trzysta.

— Czego trzysta?

— Milionów, oczywiście!

Maigret mimo woli rozejrzał się dookoła, po nędznym biurze, błotnistym podwórzu, niemal walących się budyniach, z których wydobywał się obrzydliwy zapach.

— I pan Hirszfeld wypłacił tę sumę gotówką?

Uśmiechnęła się z odrobiną pobłażania.

— Takiej sumy nie wypłaca się nigdy gotówką. Gotówką wypłacił pewną część, nie wiem dokładnie ile, ale może pan go o to spytać. Pozostałe pieniądze mają być wypłacone w ciągu dziesięciu lat...

— Wszystko córce Zubera?

— Na imię pani Armandowej Lachaume, tak. Jeśli chce pan pomówić z panem Hirszfeldem, to zwykle wraca on z rzeźni około wpół do dwunastej, z wyjątkiem tych dni, kiedy zostaje na obiad w Villette.

Janvier spojrzał ciekawie na Maigreta, który zamyślony i jakby znudzony, z opuszczoną głową wracał do samochodu, a przystanąwszy na brzegu chodnika nabijał fajkę.

— Czujesz ten zapach?

— To smród, szefie.

— A widzisz to podwórko, te budy?

Janvier czekał na dalszy ciąg.

— No więc, mój drogi, to jest warte trzysta milionów. A wiesz, czyje są te miliony?

Wsiadł, zamknął drzwiczki.

— Pani Paulette Lachaume! A teraz na Quai!

I już do samego biura Maigret nie odezwał się ani słowem do towarzyszącego mu Janviera.

## **ROZDZIAŁ 4**

Maigret otworzył szafę, powiesił wilgotne palto i kapelusz, zobaczył swą twarz w zmętniałym lustrze nad umywalką i omal nie pokazał sobie języka, tak mu się własna gęba wydała wstrętna. Co prawda, to lustro zniekształcało nieco odbicie. Niemniej komisarz miał uczucie, że po bytności na ulicy de la Gare upodobił się do mieszkańców tamtego

przerażającego domu.

‘ Po tylu latach pracy w policji nie wierzył już ani w świętego Mikołaja, ani w świat z książek dla dzieci czy obrazków z Epinal, gdzie wyraźnie po jednej stronie są bogaci, po drugiej biedni, tu zacni, tam kanalie, gdzie istnieją przykładowe rodziny otaczające, jak do fotografii, jakiegoś uśmiechniętego patriarchę.

A jednak zdarzało mu się, że mimo woli wracał — do wspomnień dzieciństwa, i niektóre realne sprawy wstrząsały nim, jak gdyby był jeszcze młokosem.

Rzadko wszakże odczuwał to aż tak dotkliwie, jak u Lachaume’ów. W pewnej chwili, która na długo zostawiła mu posmak goryczy w ustach, naprawdę miał wrażenie, że traci grunt pod nogami, i zapragnął znaleźć się znów w swoim gabinecie, opaść na fotel, pobawić się swoimi fajkami, jakby dla upewnienia się, że wszystko jest po dawnemu.

Był to jeden z tych dni, gdy lampy palą się od rana biurze, a strugi deszczu zygzakami spływają po szybach. Janvier wszedł do gabinetu za komisarzem i czekał na pocenia.

Czy to nie Loureau mignął mi w korytarzu? Loureau był reporterem, który nawiedzał biura policji śledczej już wówczas, gdy Maigret był jeszcze zwykłym inspektorem.

— Możesz mu udzielić informacji.

Zazwyczaj unikał alarmowania prasy na początku śledztwa, gdyż zdarzało się, że w swej gorliwości, aby wszystko wykryć jak najprędzej, prasa gmatwała tropy, a nawet ostrzegała podejrzanych.

Wysyłając tym razem reporterów na ulicę de la Gare nie kierował się chęcią zemsty na Lachaume’ach czy na sędzim śledczym, lecz zdecydował się na to dlatego, że czuł się bezbronny wobec nieprzystępnego domu, gdzie wszyscy milczeli i gdzie zmuszono go, aby postępował jak w rękawiczkach, nie miał więc nic przeciw temu, aby wtrącili się w to dziennikarze. Nie będą tacy delikatni jak on. Nie będą mieli na karku młodego sędziego ani

jakiegoś Radela, który o najmniejsze przekroczenie uprawnień czy o najmniejszą nieprawidłowość robiłby im zaraz Bóg wie jaką historię.

— Nie podawaj mu żadnych szczegółów. Sam się ich doszuka. A potem wróć tu do mnie.

Zdjął słuchawkę telefoniczną i kazał się połączyć z komisarzem policji w Ivry.

— Halo! Tu Maigret. Dzisiaj rano był pan tak uprzejmy i proponował mi swoich inspektorów do pomocy. Chętnie skorzystam. Chciałbym, aby zebrali informacji, co się f tej nocy działo wokoło domu. Rozumie pan? Zwłaszcza pomiędzy północą, a powiedzmy, trzecią nad ranem. Może mógłby pan znaleźć mi w swoich spisach obecny adres Weroniki Lachaume, siostry zabitego, która już ładnych parę lat temu wyprowadziła się z domu. Jak będzie go pan miał, proszę do mnie zatelefonować, dobrze? Dziękuję. Bez względu na godzinę.

Lucasa mógłby także wezwać telefonicznie, gdy jednak chodziło o któregoś z inspektorów, wolał dźwignąć się z fotela i otworzyć drzwi prowadzące do ich pokoju. Nie żeby sprawdzać, co robią, lecz, w pewnym sensie, by zorientować się w panujących nastrojach.

— Lucas, pozwól na chwilę.

W wielkim pokoju siedziało ich przynajmniej ze sześciu, bardzo dużo, jak na poniedziałek.

— Co z Kanonikiem? — zapytał przede wszystkim, gdy tylko znów zasiadł przy biurku.

— Wszystko formalnie załatwione.

— Jak poszło?

— Bardzo gładko. Trochęśmy sobie pogadali. Wie pan, szefie, czego się dowiedziałem? W gruncie rzeczy woli, że został zdradzony, chociażby przez własną żonę. Nie powiedział tego tak całkiem otwarcie, ale zrozumiałem, że bardziej by się przejął, gdybyśmy go nakryli naszymi sposobami albo gdyby wpadł przez jakiś swój błąd.

Po domu Lachaume'ów było to nieomal kojące. Maigret nie zdziwił się. Nie po raz

pierwszy u ludzi pokroju Kanonika spotykał prawdziwą dumę zawodową.

— Nie można powiedzieć, że jest zadowolony z tego, że idzie siedzieć, lub z wiadomości, że żona po to go wydała, żeby romansować z innym. Ale nie buntuje się i nie wygraża, że się zemści, gdy wyjdzie z mamra. W antropometrii, rozebrany do naga, popatrzył na mnie figlarnie i mruknął: „Trzeba być durniem, aby się żenić, gdy się jest taką oferłą jak ja!”

Maigret wezwał Lucasa, aby mu wydać polecenia, więc rzekł:

— Zadzwoń do Corbeil. Zażądasz, aby ktoś z lotnej brygady dowiedział się w tamtejszych młynach, czy szkuta „Notre Dame” już przyplłynęła. Jeśli jej jeszcze nie ma, to złapią ją koło ostatniej śluzy. Tej nocy była zakotwiczona w przystani w Ivry, akurat naprzeciwko domu Lachaume’ów. Podczas postoju wyprawiali małą bibę, która trwała do późna. Możliwe, że ktoś z nich zauważył światła w domu lub chodzących ludzi. Na tej ich fecie byli też marynarze z innego stateczku; chciałbym dowiedzieć się, jak się nazywają oni i ich statek oraz gdzie by można ich teraz złapać. Zrozumiałeś?

— Tak, szefie.

— To wszystko, stary. Wszedł Janvier.

— A co ja mam robić?

Był to ów najprzykrzejszy moment w każdej sprawie, kiedy nie bardzo wiadomo, w którą stronę skierować śledztwo.

— Zadzwoń do Paula, powinien być już skończyć autopsję. Może mieć dodatkowe szczegóły, które ci poda, nim wyprawi swój raport. Potem pójdziesz na górę do laboratorium. Dowiedz się, czy czegoś nie wykryli.

Maigret został sam ze swymi fajkami, wybrał jedną, najstarszą, i napychał ją powoli, patrząc na spływający po szybach deszcz.

— Trzysta milionów!... — mruknął w pewnej chwili, gdyż przed oczami stanął mu znów

chylący się ku ruinie dom przy ulicy de la Gare, mały piecyk w salonie, stare, ongiś piękne meble, teraz pokryte nieodpowiednim obiciem, lodowate kaloryfery, wielki salon na parterze, biblioteka i pokój bilardowy, gdzie niemal czekało się na spotkanie z upiorami.

Przypomniał sobie również, widzianą nieco z ukosa, twarz Armanda Lachaume, który według wszelkiego prawdopodobieństwa był człowiekiem słabym, może tchórzliwym i zdawał się żyć w cieniu brata.

— Kto tam z was jest wolny? — zapytał Maigret stając na progu pokoju inspektorów.

Torrence, niby uczeń w szkole, podniósł się pierwszy.

— Chodź no pan do mnie, Torrence. Proszę, niech pan siada. Uda się pan do Ivry, na ulicę de la Gare. Wolałbym, aby pan nie wchodził ani do domu, ani do fabryki, ani do biur.

Przypuszczam, że w południe przynajmniej część pracowników wychodzi na śniadanie. Niech pan od nich wyciągnie, co się da, ale najbardziej interesują mnie następujące punkty:

*Primo:* Czy Lachaume'owie mają samochód i jakiej, marki?

*Secundo:* Kto zwykle prowadzi wóz i czy wczoraj wieczorem wyjeżdżał?

*Tertio:* Czy pani Paulette Lachaume często jada kolacje na mieście? Czy wiedzą, z kim?

Co według nich robi potem?

*Quarto:* Jakie są jej stosunki z mężem? Na wszelki wypadek mogę panu powiedzieć, że zajmują osobne pokoje.

*Quinto:* Jakie były jej stosunki ze szwagrem?

Zapisał pan? Poza tym nie będę się gniewał, jeśli się dowiem, kim była żona Leonarda Lachaume. Umarła jakieś osiem lat temu. Jej panięńskie nazwisko? Pochodzenie? Czy była bogata? Na co umarła?..

Gruby Torrence bez mrugnięcia okiem zapisywał polecenia w notesie.

— Myślę, że to wszystko. Oczywiście pilne.

— Już tam idę, szefie.

Czy aby o czymś nie zapomniał? Gdyby nie obecność sędziego śledczego i adwokata, posiedziałyby sobie w domu przy ulicy de la Gare i sam, bezpośrednio wypytał o różne rzeczy. Chętnie również, po prostu przez ciekawość, zajrzałby do pokoju Armanda Lachaume, a zwłaszcza do pokoju jego żony.

Czy ta dziedziczka trzystu milionów prowadziła równie żałosny tryb życia, co reszta rodziny?

Zbliżała się dwunasta, a przecież obiecał zatelefonować do sędziego Angelota. Połączył się z nim.

— Tu Maigret. Jak pan sobie życzył, składam meldunek. Nic ważnego nie mam do doniesienia prócz tego, że pani Paulette Lachaume jest córką handlarza skórami, niejakiego Zuber, który pozostawił jej co najmniej trzysta milionów.

Na drugim końcu linii zapadła chwila ciszy, po czym odezwał się spokojny głos młodego sędziego:

— Jest pan tego pewien?

— Prawie. Wkrótce będę miał potwierdzenie.

— Od jak dawna młoda pani Lachaume rozporządza tą sumą?

— Od jakiegoś roku, jeśli moje wiadomości są ścisłe. Gdy Zuber dowiedział się, że lekarze postawili na nim krzyżyk, zapisał córce darowiznę ciepłą ręką, aby jak najmniej zapłaciła podatku spadkowego.

— Kontrakt ślubny zastrzegł rozdział majątkowy, prawda?

— Tak nam powiedziano dziś rano. Nie sprawdzałem.

— Dziękuję panu. Proszę informować mnie nadal. Nie ma pan żadnych więcej wiadomości dla mnie?

— Moi ludzie właśnie je zbierają.

Ledwie odłożył słuchawkę, zaraz podniósł ją znowu.

— Proszę połączyć mnie z mecenasem Radel.

Ale usłyszał tylko odpowiedź, że pana Radel nie ma w domu, jeszcze nie przyszedł na obiad.

— Proszę zadzwonić do państwa Lachaume, ulica de la Gare. Prawdopodobnie jest tam jeszcze.

Był tam istotnie, co dało Maigretowi do myślenia.

— Mam parę drobiazgów do wyjaśnienia, panie mecenasie. A ponieważ wiem, że nie lubi pan, żeby zbyt niepokoić pańskich klientów, wolałem zwrócić się do pana. Przede wszystkim, jak nazywa się notariusz rodziny Lachaume?

— Chwileczkę...

Nastąpiła długa chwila ciszy, w czasie której Radel zapewne pieczołowicie zasłaniał dłonią słuchawkę.

— Halo! Pan komisarz? Pan jeszcze czeka? Nie rozumiem, po co to panu potrzebne, ale moi klienci nie mają nic przeciwko temu, bym powiedział panu, że ich notariuszem jest pan Barbarin, ulica Woltera.

— Przypuszczam, że gdyby Leonard Lachaume pozostawił testament, to chyba złożyłby go u rejenta Barbarin?

— Ja też tak sądzę, wątpię jednak o istnieniu tego testamentu, gdyż rodzina nic o nim nie wspominała.

— Czy syn Leonarda... Zdaje się, że nazywa się Jean-Paul, prawda?... czy wrócił już ze szkoły?

— Chwileczkę, proszę pana.



Znowu cisza. Dłoń adwokata widocznie nie tak szczerze przylegała tym razem do tubki, bo Maigret słyszał odgłosy rozmowy.

— Nie wrócił. Stryj telefonicznie prosił, żeby chłopca zatrzymano w szkole.

— Na stałe?

— Aż do nowych dyspozycji. Za chwilę dostarczą mu tam jego rzeczy. Czy to już wszystko, co chciałby pan wiedzieć?

— Proszę zapytać panią Lachaume, młodszą oczywiście, o nazwisko jej notariusza, to jest tego, który zajmował się sprawą spadku po jej ojcu i, zapewne, jej kontraktem ślubnym.

Tym razem cisza trwała tak długo, że Maigret zastanawiał się, czy przypadkiem w ogóle nie odłożono słuchawki. Tylko raz dotarły do Maigreta słowa adwokata, który wydawał się wściekły i mówił podniesionym głosem:

— Skoro powiadam, że...

Znowu cisza. Czy Lachaume'owie opierają się? Czy Radel tłumaczy im, że policja i tak dowie się wszystkiego, co zechce wiedzieć? Z kim rozmawia? Z Armandem Lachaume? Z jego żoną? A tych dwoje starców, którzy już wyglądają jak rodzinne portrety, czy i oni uczestniczą w tej naradzie?

— Halo... Przepraszam, panie komisarzu... Przeszkodziło nam i nie mogłem od razu odpowiedzieć... Sprawę spadkową przeprowadził jego notariusz, mecenas Leon Wurmster, ulica Rivoli... Czy dobrze pan usłyszał nazwisko? Wurmster... Leon... Powtarzam imię, ponieważ jest jeszcze jeden Wurmster, Jerzy, notariusz w Passy... A co do kontraktu ślubnego, spisywał go rejent Barbarin...

— Dziękuję panu.

— Halo!... Niech pan jeszcze nie odkłada... Jestem gotów służyć panu wszelkimi innymi informacjami, jakie uzna pan za potrzebne... Wbrew temu, co mógłby pan sobie myśleć, moi

klienci nie zamierzają nic ukrywać przed policją... Co by pan życzył sobie wiedzieć?

— Przede wszystkim, chodzi o ten kontrakt ślubny...

— Wyłączenie wspólnoty majątkowej.

— To wszystko?

— Majątek pani Lachaume przechodzi na jej ewentualne dzieci.

— A w przypadku, jeżeli dzieci nie będzie?

— Na tego z małżonków, który pozostanie przy życiu.

— Jeśli się nie mylę, chodzi o sumę trzystu milionów.

— Chwileczkę.

Tym razem cisza trwała krótko.

— To pewna przesada, ale w przybliżeniu suma się zgadza.

— Dziękuję panu.

— Zdaje mi się, że chciał pan jeszcze jakieś punkty wyświetlić?

— Na razie nie.

Połączył się z kancelarią Barbarina, co trwało dość długo, bo notariusz był na posiedzeniu.

— Tu komisarz Maigret. Pan już zapewne wie, że pański klient, Leonard Lachaume, zmarł dziś w nocy?

Notariusz, zaskoczony, odpowiedział:

— Właśnie dowiedziałem się przed chwilą.

— Przez telefon?

— Tak.

— Nie żądam, aby naruszał pan tajemnicę zawodową, ale muszę wiedzieć, czy Leonard Lachaume zostawił jakiś testament?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Więc nie sporządził go w pana obecności i nie złożył żadnego tego rodzaju dokumentu w pańskiej kancelarii?

— Nie. Na pewno nie zaprzętał sobie tym głowy.

— Dlaczego?

— Bo nie posiadał żadnego majątku poza pakietem akcji firmy Lachaume, ale i te akcje są bez wartości.

— Proszę nie odkładać słuchawki. Jeszcze nie skończyłem. Leonard Lachaume był wdowcem. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak nazywała się jego żona?

— Marcelina Donat.

Barbarin nie potrzebował nawet zaglądać do swych akt.

— Co to była za rodzina?

— Nie słyszał pan nigdy o firmie Donat i Moutier?

Maigret rzeczywiście często widywał te dwa nazwiska na ogrodzeniach i składach materiałów budowlanych. Było to przedsiębiorstwo robót publicznych na dużą skalę.

— Miała jakiś posag?

— Oczywiście.

— Czy mógłby mi pan podać jego wysokość.

— Tylko na żądanie sędziego śledczego.

— Nie nalegam. Biorąc pod uwagę stan majątkowy rodziny Donat, posag musiał być niemały.

Milczenie.

— Czy małżeństwo zostało zawarte z wyłączeniem wspólnoty majątkowej?

— Mogę tylko powtórzyć poprzednią odpowiedź.

— I nie może mnie pan objaśnić, na co umarła pani Leonardowa Lachaume?

— Rodzina robi to znacznie dokładniej ode mnie.

— Dziękuję panu. Do widzenia.

Było to zaledwie mgliste tło, na którym zaczynało się coś zarysowywać. Większość osób pozostawała niewyraźna, nieokreślona, z kilkoma tu i ówdzie nieco mocniej naszkicowanymi rysami.

Obaj bracia Lachaume, najpierw Leonard, potem Armand, żenili się z bogatymi pannami.

Obie wniosły prawdziwie wspaniałe posagi, z których, zdaje się, nie pozostało ani śladu.

Czy to nie dzięki tym kolejnym wkładom istniała wciąż jeszcze wytwórnia biszkoptów, założona w 1817 roku i tak ongi kwitnąca?

Firmie groziła ruina, to pewne. Maigret zastanawiał się, czy nawet na najgłuchszej prowincji spotkać dziś można, jak za czasów jego dzieciństwa, te paczki biszkoptów o posmaku kartonu...

Starzy Lachaume, przesiadujący w salonie ogrzewanym przez żelazny piecyk, nieomal już się nie liczyli, byli jedynie, jak ów bilard na parterze, jak kryształowy żyrandol, świadkami przeszłości.

Wreszcie Armand Lachaume; czyż nie był to człowiek bezwolny, cień swego brata, jego nieudolna kopia?

A jednak cud się dokonywał i trwał od lat, firma, chociaż w stanie ruiny, istniała wciąż na dawnym miejscu, a wysoki komin nie przestawał dymić.

Fabryczka biszkoptów nie odpowiadała żadnemu popytowi na rynku, jej istnienie urągało prawom ekonomii. Ongi, w erze drobnych przedsiębiorstw, rozwijała się naprawdę świetnie, ale teraz zakłady bardziej nowoczesne zagarnęły rynek, na którym konkurowały z sobą dwie czy trzy wielkie firmy.

Według wszelkiej logiki fabryczka biszkoptów przy ulicy de la Gare już dawno powinna

była zniknąć.

Jaka wola utrzymywała ją mimo wszystko przy życiu?

Trudno było uwierzyć, że dokazał tego Feliks Lachaume, starzec milczący i pełen godności, który zdawał się nie rozumieć już tego, co się wokół niego dzieje.

Od jak dawna zszedł do roli jak gdyby elementu dekoracyjnego?

Pozostawał Leonard. Fakt, że właśnie jego teraz zabrakło, tłumaczył częściowo zamęt w rodzinie, jej niedomówienia czy raczej jej milczenie, jej paniczne uciekanie się do adwokata.

Czyż nie można sobie wyobrazić, że aż po ostatnią noc Leonard myślał, Leonard chciał za nich wszystkich?

Czy także za Paulette Lachaume?

To ostatnie pytanie było bardzo niepokojące i Maigret usiłował przywołać obraz młodej kobiety, tak jak mu się ukazała dziś rano, nie uczesana, w niebieskim, dość pospolitym szlafroku.

Jeśli coś go zaskoczyło, to właśnie spotkanie w tym domu, w tej rodzinie kobiety młodej, tryskającej żywotnością, żywotnością wręcz zwierzęcą. Nie umiałby powiedzieć, czy jest ładna; mógłby jednak przysiąc, że jest ponętna.

Bardzo chciałby zobaczyć jej pokój i zastanawiał się, czy różni się on od reszty tego domu. Zastanawiał się również, jak Paulette do tego domu weszła, dlaczego poślubiła tak żalostną figurę jak Armand, z którym nie dzieliła sypialni.

Były jeszcze inne pytania, doprawdy było tyle pytań, że stawianie ich sobie wolał odłożyć na później.

Zadzwonił telefon, Maigret podniósł słuchawkę.

— Tu Maigret...

Dzwonił Lucas.

— Mam Corbeil na linii. Już wypytywali marynarzy. Będzie pan rozmawiał?

Powiedział, że tak, i usłyszał głos jednego z inspektorów lotnej brygady w Corbeil:

— „Notre Dame” złapałem na śluzie, panie komisarzu. Właściciel i jego syn mają straszego kaca i niczego szczególnego nie przypominają sobie. Grali, śpiewali, jedli i pili prawie całą noc. Od czasu do czasu wychodzili na pokład, razem lub osobno, by zwrócić Sekwanie nadmiar napojów. Nie interesowali się tym, co się działo na ulicy. Widzieli wprawdzie światła w niektórych oknach jakiegoś dużego domu, ale nie wiedzą, czy to było w domu akurat naprzeciwko ich skutury, czy w jakimś innym. Ich koledzy nazywają się Van Cauwelaert, a ich statek „Twee Gebroeders”, co, zdaje się, znaczy „Dwaj Bracia”. To są Flamandczycy. Powinni teraz wyładowywać towar gdzieś na kanale Świętego Marcina. Wątpię, czy wiele by się pan od nich dowiedział, gdyż przynajmniej jeden z braci był tak pijany, że trzeba go było odnieść na jego pokład.

— O której godzinie?

— Około czwartej nad ranem.

Maigret znowu otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Bonfils, bardzo pan jest zajęty?

— Kończę raport, niezbyt pilny.

— Uda się pan na kanał Świętego Marcina i poszuka belgijskiej skutury „Twee Gebroeders”.

Wydał polecenie i wrócił do gabinetu zamierzając pójść na obiad, gdy znowu zadzwonił telefon.

— Mówi Torrence, szefie. Nie mam jeszcze wiele nowin, ale myślę, że lepiej, aby pan otrzymywał je na bieżąco. Lachaume’owie mają samochód osobowy, dwie stare półciężarówki, które służą do wożenia towaru, i jedną ciężarówkę, już od lat nie używaną.

Ten wóz to niebieski Pontiac, zarejestrowany na nazwisko pani Paulette Lachaume. Jej mąż nie ma prawa jazdy. Nie wiem, czy to prawda, ale ludzie twierdzą, że cierpi na ataki epilepsji.

— A Leonard prowadził czasem auto?

— Tak. Korzystał z samochodu na równi z bratową.

— A wczoraj wieczorem?

— Pani Lachaume nie brała auta. Ale gdy wychodziła około szóstej, jej samochód stał przed bramą.

— Nie wie pan, czy pojechała taksówką?

— Nie jestem pewien. Możliwe. Według tego, co mi mówiono, nie jest to kobieta, która jeździłaby metrem czy autobusem.

— Leonard wychodził?

— Tym się zajmują inspektorzy z Ivry i wypytują sąsiadów. Według policjantów, którzy mieli służbę wieczorem, niebieskiego samochodu o ósmej już nie było przed bramą. Jednemu z nich zdaje się, że widział, jak wóz zajechał gdzieś około dziesiątej, ale ten policjant był dość daleko od domu i nie widział, czy wóz wracał potem do miasta.

— Kto prowadził?

— Tego nie zauważył. Pamięta tylko, że jakiś niebieski Pontiac jechał z miasta w kierunku ulicy de la Gare.

— To wszystko?

— Nie. Mam adres tej siostry. Nie było łatwo go dostać, bo w ciągu ostatnich lat przeprowadzała się pięć czy sześć razy.

— Często bywa u rodziny?

— Zdaje się, że raczej nie. Obecnie mieszka na ulicy Franciszka I 17bis.

— Zameżna?

— Nie sądzę. Chce pan, żebym tam wstąpił? Maigret zawahał się, pomyślał o swym obiedzie, o żonie, która czeka w domu przy bulwarze Richard–Lenoir, i wzruszył ramionami.

— Nie. Sam się tym zajmę. Myszkuje pan tam dalej i dzwoń od czasu do czasu.

Ciekaw był poznać tę trzecią z Lachaume'ów i przypuszczał, że będzie zupełnie inna, ponieważ tylko ona zdobyła się na opuszczenie tego domu.

— Włożył swój wilgotny jeszcze płaszcz i zawahał się, czy brać służbowy samochód. Jak Armand Lachaume, nie umiał prowadzić i musiałby wziąć kogoś ze sobą.

Nie miał ochoty rozmawiać. Gdy wyszedł, skierował się w stronę placu Dauphine, wiedząc, że w ostatniej chwili wstąpi do piwiarni, by wypić szklaneczkę. Przy bufecie zastał inspektorów z innego wydziału, ze swoich ani jednego, bo wszyscy porozsyłani byli w różne miejsca.

— Czym można panu służyć, panie komisarzu?

— Jeden grog.

Zaczął od grogu, więc pił go dalej, choć nie była to odpowiednia pora. Ludzie z Quai nie musieli długo mu się przyglądać, by zrozumieć, że nie jest to właściwa chwila na pogawędkę. Nawet między sobą zaczęli mówić półgłosem.

Bezwiednie starał się poustawiać mieszkańców z domu w Ivry na ich miejscach, wyobrazić sobie, co nie było takie łatwe, ich codzienne życie.

Powiedzmy, na przykład, że posiłki jadają razem. Jak taka Paulette Lachaume zachowuje się w stosunku do dwojga starych? Jaka była jej sytuacja między mężem, tym mężczyzną zgaszonym, zamkniętym w sobie, a szwagrem, który, jak się zdaje, był duszą rodziny?

A wieczorem? Gdzie każde z nich przebywało?... Co robili?... Nie widział tam ani radia, ani telewizora...

O ten wielki dom, którego część skazano co prawda na całkowite opuszczenie, musiała



dbać tylko jedna, bez mała osiemdziesięcioletnia służąca!

Trzeba też pamiętać, że był jeszcze Jean–Paul, którego teraz na gwałt umieszczono w internacie, ale który dotychczas codziennie po południu wracał ze szkoły.

Jak w takim otoczeniu mógł się czuć dwunastoletni chłopiec?

— Taksówka!

Kazał się wieźć na ulicę Franciszka I i wtulony w kąt wozu nadal snuł w wyobraźni sceny z życia w tym domu, o różnych porach dnia.

Gdyby nie upór sędziego śledczego, prawdopodobnie wiedziałby już więcej. Zdawało mu się, że gdyby wypytywał Armanda Lachaume dłużej, inaczej, zmusiłby go wreszcie do mówienia.

— Przyjechaliśmy, panie komisarzu!

Zapłacił i spojrzał na sześciopiętrową kamienicę, przed którą się zatrzymali. Parter zajmowały magazyny mód, a na wielu mosiężnych szyldach widniały nazwy znanych firm.

Wszedł pod sklepienie bramy, pchnął oszklone drzwi do eleganckiej, prawie luksusowo urządzonej portierni. Nigdzie nie widać było kota. Nie pachniało przysmażaną cebulą, a dozorczyńni była młoda i sympatyczna.

Pokazał jej swój znaczek i powiedział półgłosem:

— Komisarz Maigret.

Natychmiast wskazała mu krzesło wyściełane czerwonym pluszem.

— Mój mąż nieraz woził pana i często mi o panu opowiadał. Jest kierowcą taksówki...

Odsypia teraz...

Wskazała ręką na zasłonę, która oddzielała portierkę od sypialni.

— Jest tam. Śpi...

— Czy mieszka tu lokatorka, która nazywa się Weronika Lachaume?

Dlaczego uśmiechnęła się zagadkowo, z rozbawieniem?

— Weronika Lachaume, tak. To ona pana interesuje?

— Czy dawno tu mieszka?

— Zaraz... Łatwo sprawdzić, bo w zeszłym miesiącu odnowiła dzierżawę... Nieco dłużej niż trzy lata...

— Na którym piętrze?

— Na piątym, jedno z dwóch mieszkań z dużym balkonem.

— Czy jest teraz w domu?

Potrząsnęła głową przecząco i znowu westchnęła.

— Czy pracuje?

— Tak. Ale nie o tej porze.

Maigret nie zrozumiał.

— Pani chce powiedzieć, że ona...

— Nie. To nie to, co pan myśli. Zna pan „Amazonkę” na ulicy Marbeuf, dwa kroki stąd?

Nawet jeśli Maigret wiedział, że taki lokal istnieje, noga jego nigdy tam nie postała.

Przypomniał sobie tylko oszklone drzwi między dwiema wystawami, neonowy szyld, fotografie porozbieranych kobiet.

— Czy jest właścicielką zakładu?

— Niezupełnie. Jest jednocześnie barmanką i główną atrakcją.

— Klientela pewnie nieco specjalna, co?

Dozorczyni wydawała się ubawiona.

— Nie przypuszczam, aby bywało tam wielu mężczyzn. Raczej przeciwnie, spotyka się tam kobiety w smokingach...

— Rozumiem. W takim razie panna Lachaume nie wraca chyba wcześniej niż o czwartej

nad ranem?

— O piątej, w pół do szóstej. Dawniej wracała regularnie... Ale od paru miesięcy zdarza się, że nie wraca wcale...

— Ma kogoś?

— I to kogoś prawdziwego, mężczyznę.

— Czy pani wie, kto to taki?

— Mogę panu powiedzieć, jak wygląda: facet koło czterdziestki, elegancki, prowadzi Panharda, kabriolet.

— Czy zdarza się, że spędza część nocy na górze?

— Zdarzyło się to ze dwa albo trzy razy. Zwykle to raczej ona chodzi do niego.

— Nie wie pani, gdzie on mieszka?

— Moim zdaniem, gdzieś niedaleko. Panna Weronika, jak ja ją nazywam, jeździ zawsze taksówką. Nie lubi ani metra, ani autobusów. Otóż gdy nie nocuje w domu, wraca piechotą, więc myślę, że nie przychodzi z daleka.

— Nie pamięta pani numeru tego Panharda?

— Zaczyna się na 77... A kończy się chyba na 3, ale nie , jestem pewna... A po co to? Czy to ważne?

Na początku śledztwa wszystko jest ważne, nigdy bowiem nie wiadomo, jaki obrót może sprawą nagle przyjąć.

— Czy panna Lachaume ma telefon?

— Oczywiście.

— Jakie zajmuje mieszkanie?

— Trzy piękne pokoje z łazienką. Umeblowała je z dużym smakiem. Według mnie, ona musi zarabiać ciężką forszę

— Czy to miła osoba?

— Chce pan wiedzieć, czy jest ładna?

Oczy dozorczyńni rozbłysły znowu.

— Ma trzydzieści sześć lat i wcale tego nie ukrywa. Jest tęga, a biust ma chyba ze dwa razy większy niż ja. Strzyże się krótko, po męsku, a jak wychodzi, zawsze wkłada kostium.

Rysy ma dość grube, a jednak miło jest na nią patrzeć, może dlatego, że zawsze jest w dobrym humorze i taką ma minę, jakby gwizdała na wszystko.

Maigret zaczynał lepiej rozumieć, dlaczego najmłodszej z Lachaume'ów pilno było opuścić rodzinny dom.

— Czy przed tym mężczyzną, o którym mi pani wspomniała, miała jakieś inne przygody?

— Docyc często, ale zawsze tylko przelotne. Wracala, jak już panu mówiłam, koło piątej nad ranem, nieraz w towarzystwie. A regularnie około trzeciej po południu widziało się, jak ten mężczyzna wychodzi, jak się rozgląda i przemyka pod ścianą.

— Czyli, od czasu jak tutaj mieszka, jest to jej pierwszy poważniejszy związek?

— Tak uważam.

— Wygląda na zakochaną?

— Taka wesoła jeszcze nigdy nie była. Niech pan sam osądzi.

— Nie wie pani, o której mógłbym ją zastać?

— Nigdy nic nie wiadomo. Może wrócić nad wieczorem, a może pójść wprost do kabaretu i wcale tu nie wstąpić. To się parę razy zdarzyło. Może lepiej obudzę męża, jak pan uważa? Bo jak się dowie, że pan tu był, a on przespał taką okazję...

Maigret wyjął z kieszeni zegarek.

— Bardzo się śpieszę, ale na pewno będę miał jeszcze sposobność przyjść tutaj.

W kilka minut później tkwił przed fotografiami kobiet u wejścia do „Amazonki”. Krata zastępująca drzwi była zamknięta i nie było dzwonka.

Jakiś goniec obejrzał się i popatrzył kpiąco na starszego pana, który zdawał się być pochłonięty podziwianiem urzekających zdjęć, i Maigret, spostrzegłszy to, oddalił się mruczając pod nosem.

## **ROZDZIAŁ 5**

Jeśli Maigret, zaprzętnięty jakimś śledztwem, rzadko zjawiał się w domu na posiłki, to nie dlatego, by zaoszczędzić na czasie, lecz — jak to od dawna podejrzewała żona — by niejako skupić się w sobie, na wzór owych śpiochów, którzy rano kulą się i owijają w kołdrę, aby lepiej nasiąknąć własnym ciepłem.

Ale Maigret wczuwał się głównie w osobowości innych, i teraz na przykład, na ulicy, z rękoma w kieszeniach palta, z twarzą ociekającą deszczem, stał zamyślony głęboko nad przerażającą atmosferą domu przy ulicy de la Gare.

Czyż można się dziwić, że nie chciał wracać do domu, do swego mieszkania, żony, mebli, do ostatecznie ustalonego ładu rzeczy, który tak odbiegał od mniej lub więcej wykolejonych Lachaume'ów?

To skupianie się w sobie i różne inne dziwactwa, łącznie ze sławetnym złym humorem w takich chwilach, przygarbionymi plecami i naburmuszoną miną, należały do jego techniki, którą nieświadomie wypracował z biegiem lat.

To na przykład, że wylądował teraz w alzackiej piwiarni, gdzie zajął stolik przy oknie — też nie było tylko zwykłym przypadkiem. Czuł, że tego dnia musi mocno obu nogami stać na ziemi. Chciał być twardy, nieprzenikniony.

Podobało mu się, że kelnerka, w regionalnym stroju, była tęga, krzepka i wesoła, że miała dołeczki w twarzy i wijące się jasne włosy, że na pewno nie cierpiała na żadne

psychologiczne powikłania. Z tych samych względów wydało mu się, że powinien zamówić kwaszoną kapustę, którą tu podawano obficie i suto garniowaną, z błyszczącymi kiełbaskami i kawałkiem solonej, niewinnie różowej wieprzowiny.

Gdy już to zamówił — oczywiście nie zapomniał o piwie, samo się do tego prosiło — zatelefonował do żony, której ciekawość wyraziła się w trzech zaledwie pytaniach:

— Zabójstwo?

— Coś w tym rodzaju.

— Gdzie?

— W Ivry.

— Trudne?

— Zdaje się.

Nie zapytała, czy wróci na obiad, wiedziała z góry, że nie zobaczy go może nawet przez dzień lub dwa.

Jadł machinalnie, opróżnił dwa duże kufle piwa, wypił kawę, patrząc na nieustający, ukośny, niemal poziomo padający deszcz i na przechodniów, którzy szli pochyleni do przodu, trzymając parasole niby tarcze.

Zapomniał zupełnie o sztywności w karku. Widocznie minęło od poruszania głową. Gdy po przeszło dwu godzinach wrócił do biura, czekało na niego wiele meldunków.

Przez chwilę sadowił się wygodnie, nabił świeżą fajkę, a myśl o małym żelaznym piecyku z domu przy ulicy de la Gare wzbudziła w nim żal po bardzo podobnym piecyku, który przez długi jeszcze czas po założeniu centralnego ogrzewania na Quai des Orfèvres trzymał w swym gabinecie, aż wreszcie administracja mu go zabrała.

Przez całe lata żartowano z jego nawyku grzebania w ogniu niezliczoną ilość razy dziennie, lubił bowiem patrzeć na deszcz rozżarzonych węgielków, jak lubił owo „bum”,

które się słyszy przy każdym porywie wiatru.

Pierwszy meldunek, na jaki padł jego wzrok, pochodził od inspektorów z Ivry.

Niejaka Melania Cacheux, mieszkająca w sąsiednim domu obok Lachaume'ów, wybrała się wczoraj wieczorem do swej siostry na ulicę Saint-Antoine. Zjadła tam kolację i wróciła metrem około dziewiątej wieczorem.

Zbliżając się do domu zobaczyła, że niebieski Pontiac stoi przed fabryką biszkoptów.

Leonard Lachaume otwierał właśnie dwuskrzydłową bramę i nim ona znalazła klucz w torebce, wsiadł do samochodu i wjechał na podwórze.

Nie rozmawiała z nim, bo chociaż mieszka już piętnaście lat na tej ulicy, nie utrzymuje z Lachaume'ami żadnych stosunków i zna ich tylko z widzenia.

Inspektor zadał jej dalsze pytania. Melania Cacheux była pewna, że to był Leonard, starszy z braci. Dodała informację już zresztą znaną Maigretowi: „Przecież młodszy brat nigdy nie prowadzi wozu”.

Czy Leonard Lachaume potem wyjechał raz jeszcze?

W każdym razie nie zaraz. Melania Cacheux zajmowała lokal na pierwszym piętrze. Jej okna wychodziły na ulicę. Wychodząc z domu zostawiła je otwarte, żeby przewietrzyć mieszkanie. Po powrocie natychmiast zbliżyła się do okna; usłyszała głuchy stuk zamykającej się bramy i dobrze znany zgrzyt zamków. Odruchowo rzuciła okiem na jezdnię, ale nie widziała nikogo.

Drugi meldunek był od inspektora Bonfilsa, którego Maigret wysłał na kanał Świętego Marcina. Odnalazł statek „Twee Gebroeders”, który wyładowywał cegły. Bonfils musiał obejść kilka szynków, nim trafił wreszcie na jednego z dwóch braci, Jefa Van Cauwelaerta, który, jak się okazało, miał zamiar nadal święcić uroczystość obchodzoną poprzedniej nocy. W ciągu wieczoru i nocy Jef wielokrotnie wychodził na pokład. Na akordeonie zaś grał nie

on, lecz jego brat. Za którymś tam razem usłyszał jakieś odgłosy na ulicy. Te odgłosy były takie dziwne, że aż podniósł głowę, choć wyszedł, żeby sobie ulżyć.

— Zupełnie, jakby tłuczono szkło, nie?

Hałas dochodził od strony muru ogradzającego fabryczkę biszkoptów. Ani na ulicy, ani pod murem nie było nikogo.

Chociaż owszem, marynarz jest pewny, że dojrzał jakąś wystającą ponad mur głowę, głowę kogoś, kto był na podwórzu i musiał chyba stać na drabinie.

W jakiej odległości od domu? Jakieś dziesięć metrów. Jef Van Cauwelaert był wówczas zaledwie po pięciu czy sześciu kieliszkach jałowcówki.

Maigret poszukał planu, jaki sporządził Zakład Kryminalistyki. Miejsce, w którym na szczycie muru potłuczono czerepy butelek, było oznaczone krzyżykiem i znajdowało się ze dwanaście metrów od domu. Otóż o niecałe trzy metry od tamtego miejsca stała latarnia uliczna, co dodawało prawdopodobieństwa zeznaniom marynarza.

Bonfils wypytywał dokładnie, o której to było, by się upewnić, że właśnie tym, a nie innym razem wyszedłszy na pokład marynarz słyszał te odgłosy.

— To łatwo ustalić, bo było to jeszcze przed podaniem ciasta.

Bonfils powrócił więc na pokład barki, aby przepytac żonę Jefa. Ciasto podano o wpół do jedenastej. Maigret przyjmował wszystko do wiadomości, nie usiłując jeszcze uporządkować tych informacji ani wyciągać z nich wniosków.

Przejrzał trzeci meldunek, także z Ivry, o kilka minut późniejszy od poprzedniego. Każdy z tych skrawków papieru zawierał zaledwie parę linijek, ale streszczał wynik wielu godzin pracy inspektorów, ich marszów wśród deszczu, rozmów z mnóstwem osób, które dziwiły się zadawanym im dziwnym pytaniom.

O szóstej wieczorem — a wciąż mowa o dniu minionym, cofamy się bowiem wstecz —



niejaka pani Gaudois, właścicielka sklepiu kolonialnego w tej dzielnicy, akurat naprzeciwko

Pont National, zauważyła czerwony sportowy wóz stojący o kilka metrów od jej sklepu.

Zapamiętała, że wycieraczki były w ruchu i że za kierownicą siedział mężczyzna. Czytał gazetę i zapalił sobie lampę w środku. Wyglądało, jakby na kogoś czekał.

Samochód stał długo. Sądząc po ilości klientów, których obsłużyła w tym czasie, pani Gaudois uważa, że trwało to ze dwadzieścia minut.

Nie, mężczyzna nie był bardzo młody. Mógł mieć ze czterdzieści lat. Miał na sobie żółtawy płaszcz od deszczu. Przyjrzała mu się lepiej, gdy, zapewne zniecierpliwiony, wysiadł z wozu i zaczął spacerować po chodniku.

Miał brązowy kapelusz. Małe wąsiki.

Nie był to żaden z Lachaume'ów, ani pan Leonard, ani pan Armand. Pani Gaudois zna ich obu z widzenia. A stara Katarzyna czasem nawet u niej kupuje i jest jej winna pieniądze. Ci ludzie są zadłużeni we wszystkich sklepach naokoło.

Sklepiarka usłyszała wreszcie kroki jakiejś kobiety na wysokich obcasach. Lampka wystawy oświetlała kawałek chodnika i pani Gaudois była pewna, że to pani Paulette Lachaume spotkała się z tym mężczyzną, a nawet dodała, że była w futrze i beżowym kapeluszu.

Mężczyzna otworzył drzwiczki samochodu. A ponieważ samochód był bardzo niski, pani Lachaume pochyliła się, żeby wejść do środka.

— Nie wie pani, jaka to była marka?

Pani Gaudois w ogóle nie znała się na markach samochodów. Nigdy nie miała samochodu. Jest wdową i...

Inspektor swą gorliwość zawodową posunął do tego, że przyniósł prospekt z samochodami różnych marek.

— Tamten wóz był taki jak ten! — powiedziała sklepikarka wskazując Panharda.

Oprócz raportów była jeszcze tylko południowa gazeta, w której Lucas niebieskim ołówkiem zakreślił drobną notatkę:

Morderstwo w Ivry

Ubiegłej nocy nieznany włamywacz zakradł się do domu przy ulicy de la Gare, w Ivry, zajmowanego przez rodzinę Lachaume, i zaskoczony przez starszego z braci, Leonarda Lachaume, strzelił do niego.

Dopiero rano rodzina znalazła zwłoki i...

Szczegóły miały być podane później. Teraz pewnie dobry tuzin reporterów włóczy się po Ivry.

Maigret, w ciszy swego gabinetu, gdzie dym z fajki zaczynał gęstnieć już w niebieskawą zasłonę na wysokości jego czoła, odsunął te meldunki na bok.

A więc o szóstej wieczorem Paulette Lachaume wyszła z domu w futrze i beżowym kapeluszu; zgadzało się to z zebranymi poprzednio informacjami. Nie wzięła swego wozu, lecz poszła szybko, piechotą, w stronę Pont National, gdzie o jakieś dwieście metrów od mostu czekał na nią mężczyzna w sportowym czerwonym wozie, prawdopodobnie Panhardzie.

Prawie o tej samej porze jej własny samochód, niebieski Pontiac, stał przed bramą fabryczki biszkoptów.

Nie było jednak wiadomo, o której niebieski wóz odjechał.

Stwierdzono jedynie, że o siódmej już go tam nie było i że około dziewiątej Leonard Lachaume wrócił nim i wprowadził go na dziedziniec.

O której godzinie Lachaume'owie jadali kolację? Zasadniczo powinno by ich było być sześcioro przy stole, gdyż mały Jean-Paul nie był przecież jeszcze umieszczony w internacie.

Tego wieczoru brakowało oczywiście Paulette. A także, prawie na pewno, Leonarda.

W jadalni więc znajdowało się dwoje starych, Armand i chłopiec.

Około godziny dziesiątej wieczorem marynarz z „Twee Gebroeders” słyszał odgłos tłuczenia szkła na szczycie muru i widział czyjąś głowę.

O wpół do dwunastej wróciła Paulette, ale nie wiadomo, czy taksówką, czy też odwiózł ją czerwony samochód.

Gdy znalazła się na korytarzu na pierwszym piętrze, jej szwagier, w piżamie i szlafroku, wyjrzał ze swego pokoju i powiedział jej dobranoc.

Czy Armand już spał? Czy nie słyszał powrotu żony?

Przebrawszy się na noc, Paulette udała się do wspólnej łazienki na końcu korytarza i widziała światło w szparze pod drzwiami Leonarda.

Następnie, według swego zwyczaju, zażyła środek nasenny, w nocy nic nie słyszała i obudziła się dopiero rano.

Reszta była raczej hipotetyczna, prócz godziny śmierci Leonarda, która, jak ustalił doktor Paul, nastąpiła między drugą a trzecią w nocy...

Gdzie i kiedy Leonard wypił ową dość znaczną ilość alkoholu, którą wykazało badanie treści żołądka i analiza krwi?

Maigret odszukał pierwszy meldunek ekspertów z Zakładu Kryminalistyki. Zawierał szczegółowy spis tego, co znajdowało się w pokoju nieboszczyka, z opisem mebli, tapet i drobiazgów włącznie. Nie było wzmianki o żadnej butelce czy kieliszku.

— Proszę połączyć mnie z doktorem Paul. O tej porze powinien być w domu.

Był istotnie, w doskonałym humorze, w który wprowadziło go zjedzone na mieście śniadanie.

— Tu Maigret. Może mógłby mi pan coś wyjaśnić. Co to był za alkohol, który wykryto u Leonarda Lachaume?

— W żołądku w każdym razie był koniak — odparł Paul.

— Interesowałoby mnie, o jakiej mniej więcej porze mógł go wypić? Jak pan uważa?

— Mogę to określić z dokładnością nawet do pół godziny, według danych naukowych, gdyż organizm wydalą alkohol po określonym czasie, z niewielkimi odchyleniami, zależnymi od indywidualnych cech danego organizmu. Część alkoholu, ta, którą wykryto we krwi, została wchłonięta wczesnym wieczorem, może nawet późnym popołudniem, ale na długo przed zgonem. Co się tyczy tego koniaku, który w chwili śmierci znajdował się jeszcze w żołądku, to został on wypity w dość długi czas po ostatnim posiłku; powiedziałbym, bez ryzyka większej omyłki, że gdzieś między jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy. No, a gdyby pan sobie życzył, żebym określił ilość, to byłbym bardziej powściągliwy, ale oceniam ją na dobre ćwierć litra.

Maigret milczał przez chwilę, przetrawiając tę wiadomość.

— Czy to już wszystko, co chciał pan wiedzieć?

— Jeszcze chwileczkę, doktorze. Czy na podstawie autopsji mógłby pan powiedzieć, że Leonard pił dużo, że był pijakiem?

— Ani jedno, ani drugie. Wątroba i arterie są w doskonałym stanie. Odkryłem jedynie, że w dzieciństwie ten człowiek przechodził niegroźną gruźlicę, może nawet wcale o tym nie wiedząc, co zdarza się częściej, niż przypuszczamy.

— Dziękuję panu, doktorze.

Leonard Lachaume o nieokreślonej porze wyszedł z domu, w każdym razie już po wyjściu swej bratowej, ponieważ Pontiac stał jeszcze na ulicy, gdy Paulette spieszyła na spotkanie z nieznajomym.

Mógł wyjść zaraz po niej lub nieco później. W każdym razie wiadomo, że wrócił o dziewiątej.

O tej porze nikt chyba jeszcze w domu nie spał. Może tylko mały Jean–Paul? Nie wiadomo. Mało również prawdopodobne, by Leonard poszedł do swego pokoju omijając salon.

A więc musiał się zetknąć ze swym bratem i rodzicami, może posiedział z nimi przez jakąś bliżej nie określoną chwilę, a tymczasem Katarzyna zmywała w kuchni naczynia.

Czy Leonard właśnie wtedy wypił po raz pierwszy? O czym rozmawiali? O której godzinie rodzice poszli do siebie na górę?

Wiedziałby zapewne to wszystko, gdyby nie gorliwość i natręctwo sędziego Angelota, który nie dopuszczał do wypytania rodziny, jak to było zwyczajem Maigreta.

Czy obaj bracia byli jakiś czas sam na sam ze sobą? Co wtedy robili? Każdy czytał w swym kącie? A może rozmawiali?

Leonard nie wypił tego koniaku w swojej sypialni, skoro nie znaleziono ani butelki, ani kieliszka.

Albo Armand pierwszy poszedł się położyć, zostawiając starszego brata w salonie, albo Leonard zszedł tam znowu nieco później.

Nie był pijakiem. Doktor Paul, który w ciągu swej kariery krajał już tysiące trupów, był tego pewien i Maigret wiedział, że można mu ufać.

A więc między jedenastą wieczór a drugą nad ranem starszy z Lachaume'ów łyknął sobie dobre ćwierć litra koniaku.

Gdzie w tym domu trzymano alkohole? W salonie czy w jadalni? A może Leonard musiał schodzić do piwnicy?

O wpół do dwunastej lub o dwunastej, gdy wróciła jego bratowa, był w swoim pokoju. Czy wypił przedtem? Czy dopiero potem?

Co najmniej z dziesięciu inspektorów w dalszym ciągu wędrowało po deszczu, dzwoniło

do drzwi, wypytywało ludzi, którzy usiłowali przypomnieć sobie, co widzieli i słyszeli.

Do posiadanych już przez Maigreta wiadomości dojdą nowe, które będą lub nie będą do nich pasować.

Miał ochotę wstać, pójść pogadać do pokoju inspektorów, trochę oderwać myśli, ale właśnie zadzwonił telefon.

— Jakaś pani Boinet koniecznie chce mówić z panem osobiście.

Nic mu to nazwisko nie mówiło.

— Proszę zapytać, o co jej chodzi.

Nazwisko jego zbyt często ukazywało się w gazetach i nieznajomi nieraz chcieli mówić z nim osobiście nawet w sprawach, którymi zupełnie się nie zajmował — jakiegoś zaginionego psa czy wydania nowego paszportu.

— Halo... Ona mówi, że jest dozorczynią z ulicy Franciszka I.

— Dać ją... Halo!... Dzień dobry pani... Tu Maigret.

— Niełatwo dotrzeć do pana, panie komisarzu, miałam już stracha, że nie spełnię polecenia. Chciałam panu powiedzieć, że wróciła.

— Sama?

— Tak, obładowana żywnością, co by oznaczało, że zje obiad u siebie.

— Zaraz tam będę.

Znów wolał wziąć taksówkę niż któreś ze zbyt dobrze znanych aut Policji śledczej.

Zaczęło już zmierzchać. Na ulicy Rivoli zatrzymały go dwa razy korki na jezdni i dziesięć minut zajęło przejechanie przez plac de la Concorde, gdzie mokre dachy samochodów zdawały się stykać ze sobą.

Gdy wszedł do bramy numeru 17 bis, dozór czyni natychmiast otworzyła drzwi.

— Piąte, na lewo. Mogę już nawet powiedzieć panu, że między innymi kupiła sobie pory.

Mrugnął do niej porozumiewawczo, nie wszedł do portierni, gdyż dojrzał tam jej męża, a nie miał ochoty tracić czasu na pogawędki.

Kamienica była okazała, winda szła powoli, lecz cicho. Na piątym piętrze na drzwiach po lewej stronie nie było żadnej tabliczki i Maigret, nacisnąwszy guziczek dzwonka, usłyszał kroki zbliżające się z dosyć daleka, stłumione przez pluszowy chodnik.

Drzwi otworzono ufnie. Ale nie na niego tu oczekiwano. Kobieta, która stała przed nim, zmarszczyła brwi, jakby szukała w pamięci jego twarzy.

— Czy pan nie jest przypadkiem...

— Komisarz Maigret.

— Właśnie, zdawało mi się, że już gdzieś pana widziałam. — Najpierw myślałam, że w kinie, ale nie, to było w prasie. Proszę wejść.

Maigret był zaskoczony, gdyż wygląd Weroniki daleki był od rysopisu podanego przez dozorczynię. Weronika Lachaume istotnie była dość tęga i miała zgrabne ruchy, ale miała na sobie nie kostium męskiego kroju, lecz powiewny szlafroczek, zaś pokój, do którego wprowadziła gościa, przypominał raczej buduar niż salon.

Wszystko tu było białe, ściany, obicia mebli, niebieska była tylko porcelana, a cenny dywan miał zgaszony różowy kolor, harmonia barw, która przywodziła na myśl jakiś obraz Marii Laurencin.

— Co pana tak dziwi? — zapytała wskazując mu kanapkę.

Nie śmiał usiąść na niej w swym mokrym palcie.

— Niech pan zdejmie palto i da je mnie.

Powiesiła je w przedpokoju. Co do jednego przynajmniej dozorczydni nie pomyliła się: smakowity zapach porów dolatywał już z kuchni.

— Nie spodziewałam się, że policja złoży mi wizytę — powiedziała siadając naprzeciwko

Maigreta.

Tusza, zamiast ją szpecić, czyniła ją raczej apetyczną i miłą; Maigret pomyślał, że niejednemu mogłaby się podobać. Nie wdzięczyła się, nie zadała sobie nawet trudu, by okryć szlafrokiem lekko odsłonięte kolana.

Jej stopy z polakierowanymi paznokciami poruszały się w białych pantofelkach ozdobionych puszkami.

— Może pan zapalić fajkę, panie komisarzu.

Wyjęła papierosa z pudełka, przyniosła zapalniczkę i usiadła z powrotem.

— Dziwi mnie trochę, że rodzina wspomniała panu o mnie. Musiał ich pan niezłe maglować pytaniami, nim dali wycisnąć to z siebie, uważają mnie przecież za parszywą owcę, i przypuszczam, że niechętnie wymawiają moje imię.

— Czy pani wie, co się tam stało dziś w nocy?

Wskazała mu rozłożoną gazetę, leżącą na jednym z krzeseł.

— Tylko tyle, co wyczytałam w prasie.

— Czy przeczytała to pani w drodze do domu?

Zawahała się tylko przez chwilę.

— Nie. U mego przyjaciela. I dodała wesoło:

— Wie pan, mam trzydzieści cztery lata i jestem już dorosła.

Zdawało się, że jej potężny biust, ledwo osłonięty przejrzystym szlafrocikiem, żyje własnym życiem i pulsuje własną radością. Maigret powiedziałby, że to raczej pierś zdrowej, krzepkiej dziewczyny niż rozpustnicy.

Oczy miała wypukłe, ciemnoniebieskie, zarazem naiwne i złośliwe.

— Pewnie dziwi się pan ogromnie, że nie popędziłam na ulicę de la Gare? Wyznam panu, że i na pogrzeb chyba nie pójdę. Nie zapraszano mnie na śluby mych braci ani na pogrzeb



mojej pierwszej bratowej. Nie zostałam zawiadomiona o narodzinach bratanka. Jak pan widzi, stosunki zerwane są całkowicie!

— Czy jednakże nie pani właśnie tego pragnęła?

— Owszem, to ja odeszłam.

— Był jakiś istotny powód? Jeśli się nie mylę, miała pani wówczas osiemnaście lat.’

— I rodzina chciała wydać mnie za kupca metali nieżelaznych. Wyznaję jednak, że odeszłabym nawet i bez tego, może tylko nieco później. Czy pan tam był?

Kiwnął głową.

— Wątpię, aby tam się coś zmieniło. Czy zawsze wszystko jest takie ponure? Najwięcej mnie dziwi, że ten włamywacz się nie bał. Albo był pijany, albo nie widział domu w biały dzień.

— Pani wierzy we włamywacza?

— W gazecie... — zaczęła.

Zmarszczyła czoło.

— To nieprawda?

— Nie jestem pewien. Pani rodzina nie jest zbyt rozmowna.

— Pamiętam z mojej młodości wieczory, kiedy nie padało i dziesięć słów. Jak wygląda moja bratowa?

— Jest dosyć ładna, jeśli mogę o tym sądzić.

— Czy to prawda, że jest bardzo bogata?

— Bardzo.

— Czy pan coś tu rozumie?

— Mam nadzieję, że w końcu wszystko zrozumiem.

— Czytałam to, co pisano o niej z okazji ślubu. Widziałam zdjęcia. Żał mi było biedaczki,

a potem zaczęłam się zastanawiać.

— I do jakich wniosków pani doszła?

— Gdyby była brzydka, byłoby to bardziej zrozumiałe. Wreszcie kluczem do zagadki stał się dla mnie jej ojciec. W swoim czasie miał różne kłopoty, prawda? Pochodzenia był bardzo niskiego. Podobno nie umiał czytać ani pisać, a karierę rozpoczął od tego, że jeździł bryczką od fermy do fermy. Nie wiem, czy jego córka wychowywała się w klasztorze, czy w jakiej innej szkole, dziewczęta muszą tam mieć twarde życie. Dla niektórych ludzi, zwłaszcza w Ivry, nazwisko Lachaume ma jeszcze swój urok. Dom przy ulicy de la Gare to wciąż jakby coś w rodzaju twierdzy. Rozumie pan, co chcę powiedzieć? Ci Zuberowie, ojciec i córka, za jednym zamachem weszli do wielkomiejszczańskiej sfery...

Maigret też o tym myślał.

— Wydaje mi się, że drogo za to zapłaciła — ciągnęła. — Może napije się pan czegoś?

— Dziękuję. Czy ostatnio nie widywała pani nikogo z rodziny?

— Nikogo.

— Nie przechodzi pani czasem tamtędy?

— Raczej nakładam drogi, by nie iść koło domu, który zostawił mi zbyt złe wspomnienia.

Mój ojciec zresztą jest prawdopodobnie porządnym człowiekiem. Nie jest winien, że urodził się Lachaume'em ani że jest taki, jaki jest.

— A Leonard?

— Leonard był znacznie bardziej Lachaume'em niż ojciec. To Leonard chciał za wszelką cenę wydać mnie za kupca metali, okropnego typu, a mówił ze mną o tym małżeństwie tonem króla, który wyjaśnia swym dzieciom obowiązek podtrzymania ciągłości dynastii.

— Czy znała pani swoją pierwszą bratową?

— Nie. Za moich czasów brat, choć bardzo o to zabiegał, nie znalazł jeszcze dla siebie

odpowiednio dobrej partii. Ode mnie pierwszej wymagano poświęcenia się. Jeśli chodzi o Armanda, chorował wtedy. Nigdy nie był zbyt zdrowy. We wczesnej młodości stanowił nieudaną kopię Leonarda. Starał się naśladować jego ruchy, postawę, głos. Wyśmiewałam się z niego. W gruncie rzeczy to biedaczysko.

— A czy w związku z tym, co się tam stało dziś w nocy, nie nasuwa się pani żadne podejrzenie?

— Żadne. Niech pan nie zapomina, że wiem mniej od pana. Tak naprawdę to nie był złodziej?

— Coraz bardziej o tym wątpię.

— Chce pan powiedzieć, że zbrodnię popełnił ktoś z domowników?

Zastanowiła się, a to, co powiedziała po chwili, zabrzmiało co najmniej nieoczekiwanie:

— Zabawne!

— Dlaczego?

— Nie wiem. Zęby zabić, potrzeba pewnej odwagi, a nie widzę nikogo w tej rodzinie...

— Gdzie pani była tej nocy? Nie obruszyła się.

— Dziwię się teraz, że nie zadał mi pan tego pytania wcześniej. Stałam przy ladzie baru „Amazonka”. Przypuszczam, że pan orientuje się, co to takiego? Pewnie dlatego był pan taki zaskoczony, zastawszy mnie w stroju, który w żurnalach mój nazywa się powiewnym.

„Amazonka” to praca. Smoking z czarnego aksamitu i monokl. Tutaj jestem u siebie.

Rozumie pan?

— Tak.

— U siebie w domu dążę aż do przesady w przeciwnym kierunku, to jakby odwet za to, że przez ileś tam godzin na dobę muszę zabawiać energiczne panie.

— Ma pani nawet kochanka.

— Miałam ich sporo. Zdradzę panu pewien szczegół, który wywołał kiedyś niemałe wzburzenie w mojej rodzinie i który przyspieszył moją decyzję: gdy miałam szesnaście lat, byłam kochanką mego profesora rysunków. Nie miałam wyboru, gdyż był to jedyny mężczyzna w naszej szkole.

— Czy nigdy nie zdarzyło się, by któryś z pani braci lub bratowa wstąpili do „Amazonki”?

— Po pierwsze, mogą nie wiedzieć, że tam pracuję, bo nigdy nie dawałam im adresu, a znana jestem jedynie w pewnym ograniczonym i bardzo specjalnym środowisku. Po drugie, wątpię, by mieli ochotę oglądać jedną z Lachaume’ów urzędującą przy barze nocnego kabaretu. Chociaż...

Zawahała się.

— Nie znam osobiście mojej bratowej, Paulette. Upłynęły już lata od czasu, gdy z okazji ich ślubu gazety zamieszczały jej fotografię. Któregoś wieczoru wydało mi się, że poznaję ją przy jednym ze stolików, ale było to tylko przelotne wrażenie, i dlatego nie wiedziałam, czy warto panu o tym wspominać. Uderzyło mnie, że ta kobieta przyglądała mi się natarczywie, z trudną do zrozumienia ciekawością. W dodatku przyszła tam sama.

— Kiedy to było?

— Miesiąc, może półtora temu.

— Czy widziała ją pani jeszcze kiedy?

— Nie. Pozwoli pan, że pójde zająrzeć do zupy?

W kuchni, skąd dobiegł go brzęk garnków, talerzy i widelców, spędziła dobrą chwilę.

— Skorzystałam z okazji i włożyłam pieczeń do piecyka. Nie należy tego mówić ani właścicielowi, ani klientkom „Amazonki”, bo przestaną traktować mnie poważnie i mogę stracić pracę, ale uwielbiam gotować.

— Dla samej siebie?

— Dla samej siebie, a czasem dla nas dwojga.

— Dziś wieczór — dla dwojga?

— Skąd pan wie?

— Mówiła pani o pieczeni.

— To prawda. Mój przyjaciel powinien nadejść lada chwila.

— Czy tym razem nie chodzi przypadkiem o prawdziwą miłość?

— Kto panu o tym powiedział? Koleżanka z „Amazonki”? Zresztą to nieważne, wcale tego nie ukrywam. No więc niech pan sobie wyobrazi, panie komisarzu, że w trzydziestym czwartym roku życia zakochałam się i zastanawiam się, czy nie rzucić wszystkiego i nie wyjść za mąż. Lubię gospodarować, chodzić na targ, do rzeźnika, do mleczarki. Lubię krzątać się po mieszkaniu i przyrządzać smaczne jedzenie. A to wszystko jest bez porównania jeszcze przyjemniejsze, gdy czeka się na kogoś i siada do stołu we dwoje. Wtedy...

— Kto to taki?

— Mężczyzna, oczywiście. Nie taki młody. Czterdzieści cztery lata. Różnica wieku w sam raz. Również nie szczególnie urodziwy, ale i niebrzydki. On też ma już dosyć umeblowanych pokoi i restauracji. Codziennie musi bywać u różnych Fouquetów, Maxime’ów albo w Elysée–Clubach, jako że zajmuje się przeważnie reklamą. Początkujących gwiazd miał ile chciał, ale że one najczęściej też mieszkają w umeblowanych pokojach, a stołują się po restauracjach, zaczął się zastanawiać, czy taka kobieta jak ja...

Mimo tej pozornej ironii czuło się, że jest zakochana, może nawet bardzo zakochana.

— Wróciłam właśnie od niego, a teraz zjemy razem obiad. Muszę już nakrywać do stołu.

Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę ze mną. Mogę robić swoje, słuchać i odpowiadać.

— Jeszcze tylko chciałbym dowiedzieć się, jak on się nazywa i gdzie mieszka?

— Będzie panu potrzebny?

— Wątpię.

— Jakub Sainval, ulica Ponthieu 23. Naprawdę nie nazywa się Jakub Sainval, lecz Artur Baquet, co dla dziennikarza nie brzmi zbyt dobrze. Przyjął więc pseudonim.

— Dziękuję pani.

— Za co?

— Że mnie pani tak miło przyjęła.

— A dlaczego by nie? Nawet niczego się pan nie napił! Co prawda, nie ma u mnie wiele do picia. Mam dość, gdy przez całą noc muszę pociągać szampana... Najczęściej maczam tylko usta, a resztę wylewam do spluwaczki.

Umiała się jeszcze cieszyć życiem.

— Proszę mi wybaczyć, że nie płakałam. Może powinnam była uronić parę łez, ale to nie w moim stylu. Palę się z ciekawości, kto zabił Leonarda.

— Ja też.

— Powie mi pan?

— Przyrzekam.

Wydawało się, że doszli do pełnego porozumienia, gdyż Maigret uśmiechnął się w końcu równie pogodnie, jak ta kobieta w szeleszczącym szlafroku.

Został sam na podeście schodów, czekając na windę, a gdy nadjechała, zobaczył w niej jakiegoś mężczyznę o czarnych włosach, które na skroniach zaczynały już siwieć.

Ubrany był w jasny nieprzemakalny płaszcz, a w rękę trzymał brązowy kapelusz.

— Przepraszam... — mruknął mijając komisarza. Potem odwrócił się, aby lepiej mu się przyjrzeć, bo i jemu twarz Maigreta była znana.

Winda zjechała. Dozorczyńni czatowała za oszklonymi drzwiami.

— Widział go pan? Właśnie pojechał na górę.

— Tak.

— A co pan myśli o niej?

— Jest przemiła.

Podziękował, uśmiechnął się. Nie należało jej zniechęcać, bo mogła mu jeszcze być potrzebna. Ucisnął też dłoń jej męża, kierowcy taksówki, który nieraz go już woził.

Gdy wreszcie znalazł się na ulicy, zobaczył, że przed bramą stoi czerwony kabriolet, Panhard.

## **ROZDZIAŁ 6**

Była to właśnie pora, o której ludzie wychodzą z biur, i długa chwila upłynęła, nim Maigret zdołał przemknąć się pomiędzy samochodami. Gdy znalazł się na przeciwległym chodniku, podniósł głowę i popatrzył na mieszkanie, z którego dopiero co wyszedł. Wzdłuż całego domu biegł żelazny balkon, pośrodku przedzielony kratą. Zrobiło się już zupełnie ciemno i z wielu okien poprzez zasłony przebijało światło.

Na piątym piętrze balkonowe drzwi były uchylone i jakiś mężczyzna z papierosem w ustach wychylił się przez poręcz, by popatrzeć na ulicę, lecz na widok komisarza cofnął się natychmiast.

Był to ten sam mężczyzna, który przed chwilą wjechał na górę i zmarszczył brwi, gdy przy wejściu do windy mijał Maigreta, ów Jakub Sainval od reklamy filmowej.

Teraz wrócił do mieszkania. Drzwi na balkon zamknęły się. O czym mówi w tej chwili Weronice Lachaume, zajętej nakrywaniem do stołu?

Na wprost kamienicy był bar, nie bistro, lecz jeden z owych barów na modłę amerykańską, z wysokimi stołkami i dyskretnym oświetleniem, jakich coraz więcej spotyka się w okolicy Pól Elizejskich.

Maigret wszedł i mimo tłoku znalazł pod ścianą wolny stółek. Było gorąco, bardzo

gwarno, pełno dymu z papierosów, rozlegały się śmiechy kobiet.

Przez szybę widział telefonistkę, która przyglądała mu się i malowała sobie wargi, a jakaś klientka poprawiała przed lustrem podwiązki.

— Nie. Lapointe przyszedł na służbę. Niecierpliwi się. Pali się do roboty.

— Daj mi go. Doskonale się składało.

— Lapointe? Weź samochód i pojedź do Ivry. Naprzeciwko Pont National, na rogu ulicy, zobaczysz mały, źle oświetlony sklepik. Zapomniałem, jak się ta kobieta nazywa. Coś w rodzaju Chaudais, Chaudon czy Chaudois... Czesze się w kok i trochę zezuje na jedno oko. Bądź dla niej bardzo miły, bardzo uprzejmy... Powiedz, że jest nam natychmiast ogromnie potrzebna. Pewnie będzie chciała wystroić się odświętnie. Żeby to tylko nie trwało za długo. Zawieszasz ją na ulicę Franciszka I, pod numer 17bis. Tam powinien stać przy chodniku czerwony wóz. Podjedź jak najbliżej. Siedźcie oboje w samochodzie, póki nie dam” wam znać...

— Słucham, szefie.

Wyszedł z kabiny i zapłacił za połączenie.

— Dziękuję, panie Maigret.

Już dawno przestało mu to sprawiać przyjemność. Na górze było więcej ludzi niż przedtem i jakaś ruda młoda osoba musiała się posunąć, by mógł usiąść na swym taborecie. Czuł tuż przy sobie jej biodro i silny zapach perfum.

Przy jednym ze stolików mężczyzna w jego wieku, o siwych skroniach, obejmował wpół pulchną dziewczynę, która nie miała więcej niż dwadzieścia lat. I Maigret po raz pierwszy doznał uczucia niesmaku. Może winę ponosił ten świeżo upieczony sędzia śledczy, ale Maigret poczuł się nagle stary, poczuł się kimś, kto należy już do przeszłości.

Wszystkie te dziewczyny palące papierosy, pijące whisky i cocktaile nie były już dla



mężczyzn jego pokolenia. Niektóre z nich, rozmawiając bardzo głośno, odwracały głowy, by przyrzeć mu się mniej lub bardziej dyskretnie. Wystarczyło lekko się pochylić, by dojrzeć na piątym piętrze oświetlone okna, za którymi od czasu do czasu przesuwał się jakiś cień.

Rozważał wszystkie za i przeciw. Najpierw zamierzał poczekać na Jakuba Sainval, gdy będzie wychodził. Nie ulegało wątpliwości, że tęga i urocza Weronika Lachaume była zakochana. Czy nie sprawi jej zmartwienia? Czy nie ryzykuje, że poróżni zakochanych?

Nie po raz pierwszy miał tego rodzaju skrupuły. Jeśli jednak jego podejrzenia były słuszne, czy nie lepiej, żeby wiedziała, jak sprawy stoją?

Pił swój grog powoli, starając się wyobrazić sobie, co dzieje się teraz w mieszkaniu na górze. Obiad był podany. Oboje zasiedli do stołu. Zjedzą spokojnie, a tymczasem Lapointe zdąży przyjechać ze sklepikarką. — Jeszcze jeden — zamówił.

Wszystko przemija. Nie dostrzegamy zachodzących zmian, jak nie zauważamy, że dzieci rosną, aż nagle widzimy, że są już duże.

Jego osobisty wróg, jak chętnie nazywał sędziego Comélieu, odszedł na emeryturę i jest już tylko starszym panem, który rano, pod rękę z panią o rzadkich siwawych włosach, wyprowadza psa na przechadzkę.

Już od pewnego czasu Maigret widział najpierw wokół siebie, a potem wśród swych podwładnych, inspektorów, którzy nigdy nie obijali się po drogach i dworcach, lecz mieli ukończone studia. Dziś wielu jego kolegów, niezależnie od stopnia służbowego i wysokości poborów, liczyło sobie zaledwie czterdziestkę. To prawda, że byli to ukończeni prawnicy, którzy poza tym mieli nieraz jeszcze parę innych dyplomów uniwersyteckich. Tacy rzadko ruszali się ze swych gabinetów, zadowolając się wysyłaniem w teren podwładnych i tylko omawiali później osiągnięte w ten sposób wyniki.

W ciągu jego lat służby stopniowo ograniczano uprawnienia policji i oto nadszedł czas, że

przejął je sędzia śledczy. Brygada młodych sportowców zajęła miejsce takich Comélie i chce, jak Angelot, kierować śledztwem od początku do końca.

— Ile płacę?

— Sześćset...

Ceny też były teraz inne.

Westchnął, poszukał wzrokiem swego palta, musiał zaczekać przy drzwiach na młodą dziewczynę z szatni.

— Dziękuję, panie Maigret.

Czy sędzia śledczy byłby równie gorliwy, gdyby chodziło na przykład o Kanonika czy jakiegoś innego zawodowego złodziejaska lub o jakieś oszustwo z ulicy de Javel?

Mimo tej nędzy, jaka panowała na ulicy de la Gare, Lachaume'owie byli niewątpliwie patrycjuszami, rodziną wielkomieszczańską, której nazwisko przez z górą sto lat wymawiano z szacunkiem.

Czy młodzi będą się z tym liczyć?

Specjalnie się tym nie przejmował, ale nie mógł opędzić się od myśli o kilku dręczących go sprawach. Bywają dni, w których jest się bardziej niż kiedy indziej uczulonym na pewne zjawiska tego świata. Wczoraj było przecież Święto Umarłych.

Wzruszył ramionami i przeszedł przez jezdnię. Poprzez tiulowe firanki dojrzał dozorczynię i jej męża siedzących okrągłym stole, a choć nie był pewny, czy i oni go zważyli, przechodząc ukłonił się im z lekka. Winda zawiozła go na piąte piętro, nacisnął guziczek dzwonka; usłyszał głosy, potem kroki. Drzwi otworzyła tęga Weronika, bardziej zarumieniona niż poprzednio; od razu pomyślał, że musiała przed chwilą zjeść gorącą zupę. Była zaskoczona, że widzi go znowu, lecz nie wyglądała na zaniepokojoną.

— Czy zapomniał pan czegoś? Miał pan parasol?

Odruchowo spojrzała na wieszak w przedpokoju.

— Nie. Chciałbym jedynie zamienić parę słów z pani przyjacielem.

— Ach!

Zamknęła drzwi.

— Proszę! Tędy...

Nie wprowadziła go do salonu, lecz do kuchni. Tu również przeważał kolor biały, a mnóstwo chromowanych przyborów elektrycznych przypominało wystawy gospodarstwa domowego. Coś w rodzaju balustrady, dzieliło kuchnię na dwie części i w jednej z nich urządzony był miniaturowy pokój stołowy. Waza z parującą zupą stała jeszcze na stole. Jakub Sainval trzymał w ręku łyżkę.

— Komisarz Maigret chciałby z tobą pomówić...

Sainval wstał, wyraźnie niezadowolony, zawahał się, czy ma podać rękę, wreszcie zdecydował się na to.

— Bardzo mi miło.

— Proszę, niech państwo siadają. Nie przerywajcie sobie obiadu...

— Zaraz zabiorę wazę.

— Niech pani nie zwraca na mnie uwagi.

— A pan niech lepiej zdejmie płaszcz. Tu jest bardzo ciepło.

Zabrała jego okrycie do przedpokoju. Maigret usiadł ze zgaszoną fajką w ręku, w nastroju, który sędzia Angelot potępiłby surowo.

— Chcę zadać panu tylko parę pytań, panie Sainval. Na dole widziałem pański samochód.

To ten czerwony Panhard, prawda?

— Tak.

— Czy przypadkiem ten samochód nie stał wczoraj wieczorem, około szóstej, naprzeciwko

Pont National?

Czy Sainval spodziewał się tego pytania? Nie drgnął i zdawał się szukać w pamięci:

— Pont National? — powtórzył.

— To ostatni most przed Ivry, most kolejowy...

Wróciła Weronika i patrzyła na nich ze zdziwieniem.

— Nie przypominam sobie... Nie... Zaraz... Wczoraj wieczorem...

— Około szóstej.

— Nie... Na pewno nie...

— I nikomu nie pożyczał pan swego wozu?

Nie bez przyczyny komisarz podsunął mu tę deskę ratunku.

— Ściśle biorąc, nikt mnie o wóz nie prosił, ale nie wykluczone, że ktoś z moich kolegów wziął go bez pytania.

— Ma pan zwyczaj pozostawiać samochód przed biurem?

— Tak.

— Nie wyjmując kluczyka?

— Ryzyko, że ukradną, co? Rzadko się zdarza, by kradziono samochody tak rzucające się w oczy, a więc i łatwe do odszukania.

— Czy pan i pańscy koledzy bywacie w biurze w niedziele?

— Dość często nawet.

— Jakubie, czy aby na pewno nie kłamiesz?

To Weronika, podając pieczeń na stół, wtrąciła się do rozmowy.

— Po co miałbym kłamać? Wiesz przecież, że garaże i benzynę opłaca nam biuro. Jeśli więc któryś z nas ma jakiś pilny wypad i nie ma pod ręką wozu...

— Oczywiście nie zna pan pani Paulette?

— Jakiej Paulette?

Weronika Lachaume nie tylko już się nie śmiała, ale nawet bardzo spoważniała.

— Mojej bratowej — wyjaśniła.

— Ach, tak... Przypominam sobie, że coś mi o niej mówiłaś...

— Pan jej nie zna?

— Tylko ze słyszenia.

— I nie wie pan, że ona mieszka przy ulicy de la Gare?

— Pan mi to przypomniał... Nie pamiętałem jej adresu.

Maigret widział w dyżurce dozorczyńni telefon. W salonie Weroniki też.

— Pozwoli pani, że zadzwonię?

— Wie pan, gdzie jest aparat? Poszedł sam i połączył się z dozorczyńnią.

— Tu Maigret. Jestem na piątym piętrze... Tak... Pani będzie łaskawa wyrzeć na ulicę,

czy nie stoi tam mały czarny samochód... Przy kierownicy powinien siedzieć młody

człowiek, a obok niego kobieta w średnim wieku... Proszę im powiedzieć w moim imieniu,

żeby zechcieli tu przyjść..

Nie ściszał głosu. Para w kuchni na pewno słyszała, co mówił. Nie było to miłe zadanie,

więc starał się wykonać je możliwie najprościej.

— Bardzo przepraszam, ale muszę coś sprawdzić...

Wydało mu się, że duże oczy Weroniki, niedawno takie wesołe, teraz zwilgotniały. Jej

piersi nie oddychały już poprzednim rytmem. Zmuszała się do jedzenia, ale teraz nie miała

apetytu.

— Przysięgasz, że nie kłamiesz, Kubusiu? Nawet to „Kubusiu” stało się wymuszone.

— Zapewniam cię, Niko...

Weronika niedawno wyznała komisarzowi, że był to jej pierwszy poważny związek, i

mimo pozornego cynizmu na pewno wysoko ceniła sobie tę miłość. Czy czuła, że teraz coś jej zagraża? Czy nigdy nie wątpiła o szczerości dziennikarza? Czy też świadomie przymykała oczy, bo w trzydziestym szóstym roku życia była już znużona rolą kobiety w smokingu i pragnęła po prostu zwykłego małżeństwa?

Maigret czekał na dzwonek. Na jego dźwięk pośpieszył do przedpokoju i otworzył drzwi. Jak się tego spodziewał, sklepikarka wystroiła się w swą niedzielną suknię, miała czarne palto z kunim kołnierzem i wymyślny kapelusz. Lapointe mrugnął porozumiewawczo do szefa i powiedział:

— Staralem się, jak tylko można najprędzej.

— Proszę, niech pani wejdzie. Prawda, że wczoraj wieczorem widziała pani czerwone auto, które stało przed pani sklepem?

Maigret pilnie uważał, by nie powiedzieć „przed sklepikiem”.

— Tak, proszę pana,

— Pani pozwoli za mną.

Na progu kuchni zatrzymała się i zwracając się do Maigreta zapytała:

— Co mam robić?

— Czy poznaje pani kogoś z tutaj obecnych?

— Oczywiście.

— Kogo?

— Tego pana, który je.

Maigret poszedł do przedpokoju i przyniósł nieprzemakalny płaszcz Sainvala i jego kapelusz.

— To też poznaję. Zresztą, już na ulicy poznałam samochód. Prawy błotnik ma zgnieciony.

Weronika Lachaume nie płakała; zacisnąwszy zęby wstała i odstawiła swój talerz do zlewozmywaka. Jej przyjaciel również przestał jeść, wahał się, czy ma dalej siedzieć przy stole, wreszcie wstał i wymruczał:

— A więc to ustalone!

— Co jest ustalone?

— Że tam byłem.

— Dziękuję pani. Lapointe, możesz panią odwieźć. Na wszelki wypadek, niech pani podpisze ci zeznanie.

Gdy pozostali znów tylko we troje, Weronika odezwała się nieco schrypniętym głosem:

— Gdyby to nie zrobiło panom różnicy, może przeszlibyście gdzie indziej na dalszy ciąg pogawędki? Na przykład, do salonu...

Maigret zrozumiał, że pragnie zostać sama; może chciała sobie popłakać. Zmarnował jej wieczór, a zapewne i coś więcej. Obiad we dwoje nie udał się.

— Chodźmy...

Nie zamknął drzwi uważając, że panna Lachaume ma prawo słuchać.

— Niech pan siada, panie Sainval.

— Czy mogę zapalić?

— Proszę bardzo.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, co pan narobił?

— A pan?

Kochanek Weroniki miał minę uczniaka, który, przyłapany na obmyślaniu złośliwej psoty, przybiera nadąsaną i zaciętą minę.

— Mogę pana zaraz przekonać, że jest pan w błędzie.

Maigret usiadł naprzeciwko niego i napychał fajkę. Milczał, nie chcąc ułatwiać tamtemu

sytuacji. Zdawał sobie sprawę, że to trochę niesprawiedliwe. Nie było tu sędziego Angelot. I

Sainval nie żądał obecności swego adwokata.

Sainval w oczach niektórych kobiet mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę, ale z bliska, zwłaszcza w tej chwili, był dość wyblakły. Gdy nie okazywał zwykłej pewności siebie, wyczuwało się w nim człowieka miękkiego, niezdecydowanego.

Czułby się lepiej i bardziej na swoim miejscu w tym amerykańskim barze naprzeciwno.

— Czytałem gazetę jak inni i domyślam się, co pan przypuszcza.

— Jeszcze nic nie przypuszczam.

— W takim razie po co sprowadził pan tutaj tę kobietę, której ja nie znam?

— By zmusić pana do przyznania się, że był pan wczoraj na ulicy de la Gare.

— I czego to dowodzi?

— Niczego poza tym, że pan zna panią Paulette Lachaume.

— I co z tego?

Odzyskiwał pewność siebie; a właściwie starał się nadrabiać miną.

— Znałem setki kobiet i nie słyszałem nigdy, aby to było jakimś przestępstwem.

— Nie zarzucam panu żadnego przestępstwa, panie Sainval.

— A jednak przyszedł pan tu, do mojej przyjaciółki, wiedząc, że... że...

— Że postawię pana w kłopotliwej sytuacji. Domyślam się, że nie wspominał pan jej nigdy o swych stosunkach z panią Paulette Lachaume.

Sainval umilkł, spuścił głowę. Słysząc było brzęk talerzy. Na pozór Weronika Lachaume wcale nie słuchała.

— Od jak dawna pan ją zna?

Sainval namyślał się nad odpowiedzią, wahając się, czy kłamać, czy nie. I właśnie wtedy wtrąciła się Weronika, dając tym dowód, że jednak słucha ich rozmowy.



— To moja wina, panie Maigret. Teraz już wiem. Byłam głupią gęsią, i to, co mnie teraz spotyka, nie powinno być dla mnie niespodzianką...

Musiała w kuchni płakać, może tylko trochę, dość jednak, by mieć zaczerwienione oczy.

W rękę trzymała chusteczkę, a nos jej był jeszcze trochę wilgotny.

— Na to pytanie odpowiedziałam panu, wcale o tym nie wiedząc, już wtedy, gdy niedawno był pan tu po raz pierwszy. Pamięta pan, że miesiąc czy dwa temu wydało mi się, że poznałam na sali moją bratową? Otóż tego wieczoru Jakub przyszedł po mnie, co zresztą często mu się zdarzało. Nie wiem dlaczego, wspomniałam mu wtedy o niej, bo przecież nigdy nie opowiadałam o swojej rodzinie. Nie pamiętam już dokładnie, jak do tego doszło. Zdaje mi się, że powiedziałam: „Mój brat bardzo by się zdumiał, gdyby wiedział, w jakich lokalach bywa jego żona!...” Coś w tym rodzaju... Jakub zapytał, czym się mój brat zajmuje, a ja odpowiedziałam żartobliwie: „Wafelkami!” Było nam bardzo wesoło. Szliśmy nocą, pod rękę. „Jest cukiernikiem?” — „Niezupełnie. Nigdy nie słyszałeś o waflach Lachaume’a?” A ponieważ to mu nic nie mówiło, dodałam: „Jego żona warta jest co najmniej ze dwa miliony, może więcej”. Teraz pan rozumie?

Maigret, żeby naprawdę zrozumieć, musiał dowiedzieć się czegoś więcej.

— Czy wypytywał panią o bratową?

— Nie od razu. Dopiero później zaczął rzucać pytanką, to o to, to o tamto, jakby od niechcienia...

— Czy państwo mówili już między sobą o małżeństwie?

— Od paru tygodni, mniej lub bardziej poważnie.

— Czy projekt nadal był aktualny?

— Uważałam, że sprawa jest zdecydowana.

Sainval, siląc się na ton jak najbardziej przekonywający, bąknął:

— Nigdy tego zamiaru nie zmieniłem.

— W takim razie po co ci była znajomość z moją bratową?

— Zwykła ciekawość... Bez żadnego określonego celu... A zresztą, jest przecież mężatką... Więc...

— Więc co?

— Więc nie miałem powodu, by...

— Pozwoli pani? — przerwał Maigret. — Chciałbym zadać kilka dokładnie sprecyzowanych pytań. Panie Sainval, niech mi pan powie, gdzie i w jaki sposób poznał pan Paulette Lachaume?

— Żąda pan dokładnej daty?

— Może pan ją podać w przybliżeniu.

— Było to w czwartek, jakiś miesiąc temu, w kawiarni przy ulicy Royale...

— To ty chodzisz teraz do kawiarni? — roześmiała się Weronika.

Nie miała już złudzeń. Nie szukała ratunku. Wiedziała że to już skończone, i nie miała żalu do tego człowieka. Pretensję miała tylko do samej siebie.

— Nie przypuszczam — nalegał Maigret — by znalazł pan tam przypadkowo. Musiał pan za nią iść. Prawdopodobnie od samego domu. Od ilu dni pan na nią czatował?

— Drugi dzień.

— Inaczej mówiąc, aby zawrzeć tę znajomość, tkwił pan po południu na ulicy de la Gare, w samochodzie, na warcie?

Nie zaprzeczył.

— Paulette Lachaume wyjechała, prawdopodobnie swym niebieskim Pontiakiem, a pan pojechał za nią?

— Pozostawiła samochód na placu Vendôme i załatwiała zakupy na ulicy Saint-Honoré.

— Czy w kawiarni zagadnął ją pan?

— Tak.

— Czy wyglądała na zdziwioną?

— Bardzo.

— Czy pan wywnioskował z tego, że nie jest przyzwyczajona, by ją zaczepiano?

Wszystko się zgadzało.

— Kiedy zawiózł ją pan do siebie?

— Wcale nie do mnie — zaprzeczył.

— Do hotelu?

— Nie. Pewien przyjaciel pożyczył mi swoje mieszkanie.

Znowu wtrąciła się Weronika, powiedziała z ironią:

— Rozumie pan, panie Maigret? Dla mnie mieszkanie przy ulicy de Ponthieu było wystarczająco dobre. Ale dla kobiety, która ma parę milionów franków, potrzeba czegoś wytworniejszego. I gdzież to było, Jakubie?

— U pewnego Anglika, nie znasz go, na Wyspie Świętego Ludwika.

— Często pana odwiedzała?

— Dość często.

— Codziennie?

— Dopiero ostatnio.

— Po południu?

— Czasem także i wieczorem.

— Wczoraj?

— Tak.

— Co zaszło wczoraj wieczorem?

— Nic szczególnego.

— O czym państwo rozmawiali?

Znowu wtrąciła się Weronika:

— Sądzi pan, że wiele rozmawiali?

— Proszę odpowiedzieć, panie Sainval.

— Czy pan ją już przesłuchiwał?

— Jeszcze nie.

— Ale pan to zrobi?

— Jutro rano, w gabinecie sędziego śledczego.

— Nie zabiłem jej szwagra. Nie miałem przecież powodu go zabijać.

Przez chwilę milczał z miną bardziej niepewną, po czym dorzucił cicho:

— Ani ona.

— Czy pan widział kiedy Leonarda Lachaume?

— Kiedyś, gdy czekałem na ulicy, widziałem, jak wychodził z domu.

— Czy on też pana widział?

— Nie.

— Gdzie pan jadł wczoraj obiad z Paulette Lachaume?

— W pewnej restauracji w Palais–Royal. Może pan sprawdzić. Mieliśmy stolik na antresoli.

— Znam ten lokal — przerwała Weronika. — Nazywa się „Chez Marcel”. Mnie też tam zabierał, też na antresolę i pewno też do tego samego stolika w lewym rogu. Czy tak, Jakubie?

Nie odpowiedział.

— Gdy wyjeżdżaliście z ulicy de la Gare, nie zauważył pan, że ktoś jedzie za wami?

— Nie. Padał deszcz. Nie lubię patrzeć w lusterko wsteczne.

— Pojechaliście następnie do mieszkania na Wyspie „Świętego Ludwika”?

— Tak.

— Czy odwiózł pan potem panią Lachaume do domu?

— Nie. Chciała koniecznie wracać taksówką.

— Dlaczego?

— Bo w nocy czerwony samochód bardziej wpada w oko na pustej ulicy.

— Czy bardzo dbała, aby nie widziano jej z panem?

Czuło się, że Sainval nie może się zorientować, do czego zmierza Maigret, ściślej mówiąc, jaką pułapkę kryją jego pytania.

— Przypuszczam. To dość zrozumiałe.

— Myślę jednak, że jej stosunki z mężem były raczej chłodne?

— Już od lat nic ich nie łączyło i mieli osobne pokoje. Armand jest człowiekiem chorowitym.

— Nazywa go pan już Armandem?

— Jakoś przecież trzeba go nazywać.

— Jednym słowem, chociaż pańska noga nie postąpiła u Lachaume’ów, traktował ich pan niejako jak rodzinę?

Znowu Weronika zabrała głos; tym razem powiedziała bez ogródek.

— Słuchajcie, po co bawić się w ciuciubabkę... Obaj wiecie, jak sprawa przedstawia się naprawdę. Ja również, niestety, już się nie łudzę. Jakub, chociaż bywał u Fouquet’a, Maxime’a i w innych wytwornych lokalach, zawsze klepał biedę i poza samochodem, który pewnie też nie jest spłacony, nie ma nic. Zauważyłam już, że w barach i restauracjach jada na kredyt. Gdy spotkał mnie, pomyślał sobie, że niezamężna kobieta w tym wieku, która zawsze pracowała, powinna mieć odłożone pieniądze, ja zaś miałam nieszczęście przyprowadzić go

tutaj i opowiedzieć, że właśnie kupiłam to mieszkanie. I tak jest. To moja własność. A nawet buduję sobie teraz domek nad brzegiem Marny. Był tym zachwycony, i choć wcale tego nie żądałam, sam zaproponował mi małżeństwo. Ale niestety przyszedł mi do głowy idiotyczny pomysł, by opowiedzieć mu o mojej bratowej i jej milionach...

— Nigdy nie przyjmowałem pieniędzy od kobiet — powiedział Sainval matowym głosem.

— To zgadza się właśnie z tym, co mówię. Wyciąganie tu i tam drobnych sumek nie było mu na rękę. Podczas gdy żeniąc się...

— Ona jest mężatką...

— A od czego są rozwody? Przyznaj, żeście o tym oboje mówili.

Wahał się, sam już nie wiedział, co począć. Czyż Maigret nie oświadczył mu, że jutro przesłucha Paulette?

— Nie brałem tego poważnie. Po prostu przez ciekawość wsadziłem palec między drzwi...

— A więc myślała o rozwodzie... Żeby zaś nie ona była stroną winną, pilnowała się, by nie przyłapano ich razem... Teraz pan rozumie, panie Maigret? Nie mam do pana żalu, że to wyszło na jaw... To nie pana wina... Panu chodziło o co innego... Czasem polując na grubą zwierzynę, łowi królika... A ty, Jakubie, bądź łaskaw zabrać swój szlafrok i pantofle, a mnie odeślij moje rzeczy... Niedługo już pójdę do pracy i muszę się ubierać... Te panie czekają na mnie!

Roześmiała się nerwowym śmiechem, który wstrząsnął jej pełną piersią.

— Mam nauczkę!... Jednakże pan się myli, panie komisarzu, przypuszczając, że Jakub zabił Leonarda... Po pierwsze, nie widzę powodu... A po drugie, między nami mówiąc, on tylko wygląda na takiego zucha... Ducha by wyzionął, zanimby przelazł przez mur... Proszę mi wybaczyć, że nie mogę naprowadzić pana na żaden ślad.

Nagle łzy zabłysły w jej oczach, ale nie usiłowała odwrócić głowy. Powiedziała

stłumionym głosem:

— Idźcie sobie obaj... Najwyższy czas, żebym się zaczęła ubierać...

Wypchnęła ich do przedpokoju w stronę wieszaka. Już w klatce schodowej Sainval odwrócił głowę:

— A mój szlafrok i pantofle?

Zamiast pójść po nie, powiedziała:

— Idź już, odeślę ci je... Nie bój się! Nikt ich używać nie będzie...

Drzwi się zamknęły i Maigret mógłby przysiąc, że usłyszał krótki szloch, a zaraz po nim szybkie kroki.

W milczeniu weszli z Sainvałem do windy. Dziennikarz mruknął:

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan narobił?

— A pan? — odpowiedział Maigret zapalając wreszcie swą fajkę.

Że też temu durniowi sędziemu zachciało się uczestniczyć w śledztwie od początku do końca! Czyżby dla przyjemności?

## **ROZDZIAŁ 7**

Śniło mu się to wszystko, jak uczniowi śni się dręczący go jutrzejszy egzamin. I choć sędzia Angelot nie zmaterializował się, choć Maigret ani przez chwilę nie ujrzał jego twarzy, niemniej czuł jego obecność na dalszym planie. Nie był to jeden sen, lecz raczej cała seria snów, poprzedzielanych stanami półświadomości lub zupełnego rozbudzenia, a we wszystkich komisarz wciąż zmagał się z tym samym problemem.

Zaczął się w sposób dość pretensjonalny. Oświadczył niewidzialnemu sędziemu śledczemu:

— A więc pokażę panu za chwilę moją metodę...

Było to coś w rodzaju figury retorycznej zwanej repetycją. O metodzie mówił oczywiście z

ironią, bo przecież od trzydziestu lat powtarza, że nie ma żadnej metody. A jednak! Nie gniewał się, że może wyjaśnić to temu nieprzyzwoicie młodemu urzędnikowi.

Maigret był zupełnie sam w rozpadającym się domu przy ulicy de la Gare, który do tego stopnia stał się niematerialny, że komisarz mógł przenikać przez ściany. Sceneria jednak nie była z tego powodu mniej realna, nie brakowało żadnych szczegółów, nawet tych, o których komisarz na jawie już nie pamiętał.

— O, proszę!... Przez całe lata siadywali tu wieczorami...

Maigret jest w salonie i dorzuca węgla do małego żelaznego piecyka, którego drzwiczki, niby blizna, znaczą czerwoną szczeliną pęknięcia. Rozsadza ludzi na ich miejscach, dwoje starych, niby figury wycięte z drzewa, Leonarda, którego koniecznie trzeba wyobrazić sobie żywego i którego Maigret wyposaża w lekki, gorzki uśmiezek, niecierpliwą Paulette, która wstaje co chwila, przegląda pisma zilustrowane i pierwsza oznajmia, że idzie się położyć, i wreszcie wątego Armanda, który zażywa jakieś lekarstwo.

— Rozumie pan, panie sędzio, to jest główny punkt...

Nie wiedział, o jakim punkcie mówi.

— Co wieczór, przez całe lata... Jean-Paul już spał... Wszyscy inni, oprócz Paulette, myśleli tylko o jednym. Leonard z bratem od czasu do czasu wymieniali spojrzenia...

Leonard musi mówić pierwszy, dlatego że jest starszy i dlatego że Armand nie ma odwagi...

W śnie Maigreta mówić oznacza żądać pieniędzy od córki Zuberera.

Ruina zagraża firmie Lachaume'ów, tej najstarszej w Paryżu fabryce biszkoptów, instytucji ważnej, cenniejszej jak i owe obrazy, które umieszcza się w muzeum i które są dorobkiem całych pokoleń.

Jest ktoś, kto rozporządza całą kupą pieniędzy, brudnych pieniędzy, tak brudnych, że papa Zuber był bardzo szczęśliwy, gdy udało mu się wydać córkę za jednego z Lachaume'ów i



zapewnić jej zaszczytne stanowisko społeczne.

— Rozumie pan?

Po wszystkie te chaotyczne wywody wciąż zwrócone były do niewidzialnego Angelota.

Trudna robota. Równie trudna, jak w innych snach unoszenie się w powietrzu na rękach.

Nie należało dopuścić, by Lachaume'owie wymknęli się, ulotnili.

— Odchodzą starzy, potem Armand, aby tamtych dwoje pozostawić sam na sam. Byłoby prościej, gdyby od razu dała grubszą forszę, ale upiera się, nie chce tego zrobić, bo może jej ojciec, złośliwy staruch, przed śmiercią poradził jej, by tak właśnie postępowała. Tylko małe sumki pod koniec miesiąca. W ten sposób ciągnie się to...

Lachaume'owie na początku musieli widocznie kłamać, zapewniać, że kilka milionów postawi firmę na nogi, że dom stanie się wygodny i wesoły, że będzie odpowiednią ramą do proszonych obiadów, przyjęć, jak przystało wielkiej burżuazji.

Co miesiąc sam na sam z Leonardem:

— Ile?

Po czym każde z nich zamyka się w swym pokoju, w jednej z tych cel, i dalej snują rozmyślenia...

Korytarz... Drzwi... W głębi łazienka, stara łazienka, gdzie krople wody utworzyły brązowy ślad na emalii wanny.

Lachaume'owie przywykli do tego... A może u Zuberera, mimo jego milionów, w ogóle nie korzystano z łazienki?...

— W to wszystko, panie sędzio, musi się pan wczuć...

I powtarza z naciskiem:

— Wczuć się!

...Leonard w swym gabinecie na dole, Armand w swoim, naprzeciwko księgowego,

biszkopyt pakowane ręcznie i śmieszna smużka dymu snująca się z wysokiego komina, który usiłuje naśladować kominy fabryczne...

Paulette wsiada do samochodu...

Wczorajszy dzień, pod wieczór. Pani Gaudois jest swoim sklepiku. To niedziela, ale w poprzedzającą ją sobotę też było święto, sklepikarze z przedmieść nie lubią zamykać przez dwa dni z rzędu swoich handelków. Czerwony Panhard zjawia się około godziny szóstej, z tak zwanym Sainvałem w deszczowcu. Śledzący go Leonard. W niebieskim Pontiaku. Palais-Royal. Restauracja. Trzeba by, jak na niektórych fotografiach, nakładać obrazy jedne na drugie, pokazać policjantów z Ivry, inspektorów Janviera i Lucasa, wszystkich tych, którzy wypytywali ludzi, skutę w Corbeil i drugą na kanale Świętego Marcina, doktora Paul, który wycina mięśnie i jelita, umieszcza w próbkach, pokazać ludzi w laboratorium, którzy mierzą, przeprowadzają analizę, oglądają przez lupę mikroskop...

Maigret uśmiecha się ironicznie.

— Jednakże rzeczą najważniejszą...

Przez skromność nie powiedział, co jest rzeczą najważniejszą, i dalej krążył z pokoju do pokoju, przenikając przez ściany.

Gdy żona szturchnęła go, obudził się zmęczony jak po nocy w pociągu, a kark miał znowu obolały.

— Kilka razy mówiłeś w nocy przez sen.

— A co?

— Nie mogłam zrozumieć. Mamrotałeś niewyraźnie...

Nie podtrzymywała tego tematu. Wieczorem jadł nie odzywając się do niej ani słowem, z taką miną, jakby nie pamiętał, że jest u siebie w domu i że żona siedzi naprzeciwko.

Jakub Sainval wydawał się wczoraj wieczorem zdziwiony, że go nie aresztowano, lecz

tylko polecono mu nie opuszczać Paryża.

Wczoraj też, po powrocie do domu, Maigret zadzwonił do Lapointe'a, który w tym tygodniu miał nocne dyżury; polecił mu ustalić pewne dane i zebrać wszystkie akta sprawy. Dzisiaj już nie padało, ale niebo nie było ani jaśniejsze, ani weselsze, a ludzie w autobusie nie szczydzili sobie objawów złego humoru.

Maigret wstał wcześniej niż zwykle, więc gdy zjawił się na Quai des Orfèvres, biura były jeszcze prawie puste.

Przede wszystkim znalazł oczywiście polecenie sędziego śledczego, żeby koniecznie zatelefonował do niego z samego rana, co dla panów z prokuratury oznaczało godzinę dziewiątą rano.

Dzięki temu miał nieco czasu przed sobą i zabrał się do przeglądania danych statystycznych, które Lapointe położył mu na biurku przed zejściem z dyżuru. Zanotował tylko parę cyfr, nie bez uśmiechu zadowolenia, jako że wcale się nie pomylił w przewidywaniach.

Następnie pochylił się nad planem domu w Ivry, sporządzonym przez funkcjonariuszy Zakładu Kryminalistyki.

Do planu załączony był gruby, drobiazgowy raport. Ci ludzie nie mieli zwyczaju lekceważyć najmniejszego szczegółu. Wymieniono na przykład stare kółko od dzieciennego rowerku, zardzewiałe i pogięte, znalezione w kącie podwórza.

Czy należało do roweru Jean-Paula, czy raczej do roweru, na którym jeździł ongiś Armand lub Leonard? A może to ktoś z ulicy pozbył się go przerzucając przez mur zamiast wrzucić do Sekwany?

Szczegół był znamienny, a było też wiele innych, równie znamiennych, zbyt wiele, aby można je było wszystkie zapamiętać.

Dłużej natomiast zatrzymał się nad spisem tego, co znajdowało się w pokoju Leonarda.

Osiem białych koszul, z czego sześć bardzo znoszonych, z reperowanymi kołnierzykami i mankietami... Sześć par kalesonów, łątanych... Dziesięć par skarpetek bawełnianych i cztery pary wełniane... Pięć piżam w paski...

Wszystko zostało zapisane, ilość chustek do nosa, stan grzebienia, szczotki do włosów i szczotki do ubrania, a do tego dołączono szkic z oznaczeniem miejsca każdego przedmiotu.

Tak jak w nocy we śnie, Maigret usiłował teraz wyobrazić sobie ten pokój, rozmieszczając w nim różne przedmioty wymienione w spisie.

...Zegar wahadłowy z czarnego marmuru i brązu, mechanizm nieczynny... Dwa trójramienne świeczniki z marmuru i brązu... Wiklinowy koszyk na papiery, zawierający zmiętą gazetę... Klucz nastawny, długości trzydziestu sześciu centymetrów, jakich używają ślusarze do instalacji rurowych!...

Opis łóżka był nie mniej dokładny. Prześcieradło z cienkiego płótna i w doskonałym stanie, z wyhaftowaną literą „P” wielkości czterech centymetrów...

Maigret rozstawił dwa palce, wyobraził sobie ową haftowaną literę, westchnął i, czytając dalej, zdjął słuchawkę telefonu.

— Proszę połączyć mnie z mecenasem Radelem... To adwokat... Nie znam jego numeru.

W chwilę później otrzymał połączenie.

— Halo! Tu Maigret... Chciałbym, żeby zapytał pan klientów o dwie rzeczy; mnie to oszczędzi chodzenia na ulicę de la Gare i wzywania tam pana... Halo! Jest pan tam?

— Tak. Słucham.

Adwokat musiał być zdziwiony tonem, jakim Maigret zwracał się do niego.

— Po pierwsze, chodzi mi o klucz angielski... Angielski klucz długości trzydziestu sześciu centymetrów... Znajduje się w pokoju Leonarda Lachaume., pokój jest opieczętowany...

Chciałbym wiedzieć, skąd się ten klucz wziął... Co?... Tak... Powód może być całkiem prosty i chciałbym go znać... Druga sprawa... Ile jest prześcieradeł w domu... Ależ tak, bardzo przepraszam, to rzeczywiście niezmiernie prozaiczne... Chwileczkę!... Niech pan zapyta, czy wszystkie prześcieradła są oznaczone literą „P”, a jeśli nie, to kto używa tych znaczonech... Ile prześcieradeł jest znaczonech, ile nie lub ile poznaczonech jakoś inaczej... Co?... Tak, to wszystko... Chociaż... Przewiduję, że zasłoni się pan zaraz tajemnicą zawodową... Od jak dawna jest pan adwokatem Lachaume'ów...

Na drugim końcu przewodu telefonicznego zaległa chwila ciszy. Mecenas Radel wahał się. Maigret był wczoraj zaskoczony, że spotkał adwokata tak młodego, tak, można powiedzieć, nieznanego, w domu, gdzie raczej oczekiwało by się starego, wytrawnego prawnika.

— Co pan mówi?... Od trzech tygodni?... A czy mogę pana jeszcze zapytać, czyim właściwie jest pan adwokatem?... Kto to taki, trzy tygodnie temu, wezwał pana czy też sam zgłosił się do pana?...

Wysłuchał . odpowiedzi Radela, wzruszył ramionami i wreszcie, gdy głos zamilkł, odłożył słuchawkę. Jak się tego spodziewał, na to pytanie Radel odmówił odpowiedzi.

Właśnie sięgał po jedną ze swych fajek, .gdy zadzwonił telefon. Tym razem był to sędzia Angelot, który grubo dziewiątą przyszedł do swego gabinetu.

— Komisarz Maigret?

— Tak, panie sędzio.

— Czy znalazł pan moje polecenia?

— Oczywiście. Przeczytałem je z uwagą.

— Chciałbym zobaczyć się z panem możliwie jak najprędzej.

— Wiem. W ciągu kilku najbliższych minut spodziewam się jeszcze jednego telefonu, po czym zaraz przyjdę do pana.

Istotnie, czekał nic nie robiąc, po prostu paląc tylko fajkę i stojąc przy oknie. To trwało ze sześć minut. Radel szybko się sprawił.

Najpierw poinformowałem się co do klucza nastawnego... Otóż stara Katarzyna posługuje się nim bardzo i często... A jakieś dwa tygodnie temu Leonard Lachaume poczuł nagle w swoim pokoju zapach gazu... Obecnie gaz jest tylko w kuchni, ale dawniej pokoje miały oświetlenie gazowe i pozostała po nim instalacja. Zaszpuntowano tylko rurki. Leonard wziął więc klucz nastawny z warsztatu na parterze... Zapomniał go odnieść i od tego czasu klucz leżał w kącie pokoju...

— A prześcieradła?

— Nie zdołałem dowiedzieć się dokładnie, ile ich jest, bo niektóre są akurat w praniu... Są różnie znaczone. Najstarsze, najbardziej zniszczone, mają monogram „NF” pochodzą z czasów małżeństwa starych państwa Lachaume... W owych czasach, gdy kobieta wychodziła za mąż, wnosila w wyprawie tyle prześcieradeł, że starczało do końca życia... Są z grubego holenderskiego płótna i zostało ich kilka sztuk... Są także prześcieradła znaczone „ML”, należały do zmarłej żony Leonarda. Powiedziano mi, że jest ich dwa tuziny... W tym jedno spalone przy prasowaniu... Tuzin prześcieradeł prawie nowych, bawełnianych, bez liter... I wreszcie tuzin prześcieradeł cienkich, należących do pani Paulette Lachaume...

— Znaczone literą „P”?

— Tak.

— Przypuszczam, że używa ich wyłącznie pani Paulette?

— Nie pozwoliłem sobie wypytywać o to. Powiedziano mi tylko, że są to jej prześcieradła.

— Bardzo panu dziękuję.

— Czy mógłbym zapytać...

— Nie, mecenasie... Jeszcze nic nie wiem... Pan wybaczy...

Nie wziął ze sobą żadnych papierów, otworzył drzwi do pokoju inspektorów, gdzie właśnie przyszedł Lucas.

— Gdyby o mnie pytano, jestem u sędziego śledczego. Miał klucz od oszklonych drzwi, które łączyły Policję Śledczą z Pałacem Sprawiedliwości, a które zamykano starannie od czasu, jak pewien więzień skorzystał z nich i uciekł.

Jak zwykle po drodze, rozpoznał kilku klientów, niektórzy siedzieli między dwoma żandarmami. Wśród nich zobaczył Kanonika, który czekał nie opodal drzwi pewnego sędziego i który, wskazując bez słowa na nałożone mu kajdanki, wzruszył ramionami, jakby mówił: „Oto jacy są ludzie po tej stronie!”

Był to istotnie inny świat, od którego załatywało biurokracją, i papierkomania.

Zastukał do drzwi Angelota i zastał go przy biurku, świeżo ogolonego, lekko pachnącego lawendą. Jego sekretarz, siedzący przy końcu stołu, był niewiele starszy od niego.

— Proszę, niech pan siada, panie komisarzu. Wczoraj byłem bardzo zdziwiony, że całe popołudnie i wieczór nie miałem od pana żadnych wiadomości. Czy mam z tego wnioskować, że nic pan nie znalazł, że nie zrobił pan żadnego posunięcia, które mogłoby mnie interesować?

Sekretarz tkwił na miejscu, z ołówkiem w ręku, gotów do protokołowania, ale na szczęście nie zabierał się do tego.

— Czy był pan znowu na ulicy de la Gare?

— Osobiście nie.

— Nie widział się pan więc ponownie z nikim z członków rodziny albo personelu?

— Nie.

— Sądzę jednak, że pan i pańscy pracownicy zajmowaliście się tą sprawą? Jeśli chodzi o mnie, wiele o niej myślałem i wyznaję, że mimo małych korzyści, jakie mogła dać kradzież,

wracam wciąż do hipotezy rabunku.

Maigret milczał, myśląc, jak mało jego sen podobny był do rzeczywistości. Czy naprawdę warto wyjaśniać, pokusić się o wytłumaczenie temu urzędnikowi, że...

Czekał na wyraźne pytania.

— A co pan o tym myśli? — zapytał wreszcie sędzia.

— O rabunku?

— Tak.

— Zebrałem trochę danych liczbowych specjalnie ze względu na pana. Czy wie pan, ile było w ciągu ostatnich dziesięciu lat w Paryżu włamań nocą do mieszkań czy też willi prywatnych, których lokatorzy byli w domu?

Sędzia patrzył na niego zdziwiony i zaintrygowany.

— Trzydzieści dwa — ciągnął Maigret obojętnym głosem. — Trochę więcej niż trzy rocznie. Z tego ze dwanaście trzeba zaliczyć na rachunek swego rodzaju artysty czy maniaka, którego zatrzymaliśmy przed trzema laty i który do dziś siedzi w więzieniu.

Dwudziestopięcioletni chłopak, mieszkający z siostrą, nie posiadający ani kochanki, ani przyjaciół, a który z samego zamięłowania dokonywał najtrudniejszych wypadków, jak na przykład wejście do pokoju, gdzie spało dwoje ludzi, i zabranie im biżuterii, nie obudziwszy ich. Oczywiście, nie był uzbrojony.

— Dlaczego mówi pan: oczywiście?

— Bo zawodowi włamywacze nigdy nie są uzbrojeni. Znakomicie znają kodeks karny i starają się jak najmniej obciążać...

— Tym nie mniej prawie co tydzień...

— Prawie co tydzień czyta się w pismach, że jakaś stara kupcowa czy handlarka, dzierzawiąca sklepik w którejś dzielnicy lub na przedmieściu, została zamordowana... W



rzeczywistości nie chodzi właściwie o włamania... Sprawcy tych zbrodni to młode łobuzy, partacze i przeważnie głupcy... Chciałem wiedzieć, ile w ciągu tych dziesięciu lat było prawdziwych włamań, którym towarzyszyło lub z których wynikło morderstwo... Trzy, panie sędzio... W jednym przypadku śmierć zadano angielskim kluczem, który włamywacz miał w kieszeni... W drugim — pogrzebaczem znalezionym na miejscu; złodziej posłużył się nim, widząc, że go przyłapano i że jest w niebezpieczeństwie. Wreszcie trzeciej zbrodni dokonano bronią palną, Lugerem pozostałym z wojny...

Powtórzył:

— Jeden jedyny raz!... A tutaj narzędziem zbrodni był pistolet kalibru 6.35... Nie przypuszczam, aby w całym Paryżu znalazł się fachowiec czy zwykły bandzior posługujący się tą bronią, którą zacni ludzie zazwyczaj przechowują szufladkach nocnych szafek, a zazdrosne kobiety noszą w torebkach...

— Jeśli dobrze rozumiem, nie przyjmuje pan hipotezy włamania w celach rabunkowych?

— Nie.

— Nawet, że mógłby tego na przykład dokonać ktośz obecnego czy dawnego personelu?

— Belgijski marynarz, do którego moim ludziom udało się dotrzeć, widział wieczorem, jak ktoś od strony podwórza stał na drabinie i tłukł skorupy szkła na szczycie muru.

— Wieczorem czy po drugiej w nocy?

— Wieczorem, około dziesiątej.

— Czyli na cztery godziny przed zabójstwem?

— Na cztery godziny przed zabójstwem.

— Jeżeli to prawda, co pan z tego wnioskuje?

— Na razie nic. Pan prosił o wszystkie informacje, w miarę, jak będą napływały.

— Czy dowiedział się pan jeszcze czegoś nowego?

— Pani Paulette Lachaume ma kochanka.

— Powiedziała to panu? Zdawało mi się, że pan...

— Nie widziałem się z nią. Nic mi nie mówiła. To jej szwagierka niechcący naprowadziła mnie na trop.

— Co za szwagierka?

— Weronika Lachaume.

— Gdzie pan ją znalazł?

— W jej mieszkaniu, przy ulicy Franciszka I. Jest barmanką w „Amazonce”, dość specjalnym kabarecie przy ulicy Marbeuf. Jej kochanek, którego w przyszłości zamierzała poślubić, jest również kochankiem pani Paulette.

— Przyznał się do tego?

— Tak.

— Co to za człowiek?

— Jeden z tych typów, jakich sporo spotyka się w okolicy Champs Elysées... Z zawodu dziennikarz... Po uszy w długach... Poprzednio zamierzał ożenić się z Weroniką, która ma własne mieszkanie i pewne oszczędności... Gdy opowiedziała mu o swej bratowej, postarał się nawiązać z nią znajomość, został jej kochankiem i jeszcze przedwczoraj wieczorem jadł z nią obiad, a następnie zabrał do mieszkania na Wyspie Świętego Ludwika, które pożyczał mu na podobne okazje przyjaciel, pewien Anglik...

Umyślnie, nie bez złośliwej przyjemności, rzucał od niechcienia te informacje, które sędzia usiłował uporządkować sobie w głowie.

— Czy zatrzymał go pan na Quai des Orfèvres?

— Wcale go tam nie zabierałem.

— I dokąd to wszystko prowadzi?

— Nie mam pojęcia. Jeśli odrzuci się hipotezę, że zrobił to włamywacz lub wariat, i jeśli uwierzmy słowom owego marynarza, trzeba przyjąć, że zbrodnię popełnił ktoś z domowników. Otóż pracownicy Zakładu Kryminalistyki znaleźli w pokoju Leonarda Lachaume klucz nastawny długości trzydziestu sześciu centymetrów.

— Zabójca posłużył się pistoletem...

— Wiem. Ten klucz waży około dwóch kilogramów. Według Katarzyny, służącej, klucz znajdował się w pokoju Leonarda od dwóch tygodni, wziął go wtedy, by zacisnąć jakiś sworzeń zatykający rurę od gazu...

— Czy ma pan jeszcze jakieś dane?

Sędziego denerwowała spokojna ironia Maigreta. Było jasne, nawet dla sekretarza, który spuścił głowę z zakłopotaną miną, że komisarz zdecydowanie obrał postawę, której, choć nie była wroga ani zaczepna, wyraźnie brakowało serdeczności.

— Trudno to tak nazwać... Dowiedziałem się na przykład, ile prześcieradeł jest w domu...

— Prześcieradeł?

— Tylko jedno prześcieradło, to w pokoju Leonarda, jest poplamione krwią... Ono zaś oznaczone jest literą „P” i należy do pani Paulette Lachaume...

— To wszystko?

— Przedwczoraj około szóstej wieczorem, mimo deszczu, pani Lachaume wyszła z domu pieszo i spotkała się ze swym kochankiem, który czekał na nią w czerwonym samochodzie nieco dalej na tej ulicy, naprzeciwko pewnego sklepiku. Mniej więcej o tej samej porze Leonard Lachaume wyjechał samochodem swej bratowej, niebieskim Pontiakiem... Tamta parka udała się do ustronnej restauracji w Palais-Royal, „Chez Marcel”... Leonard powrócił o dziewiątej wieczorem... Godzinę później ktoś, od strony podwórza, tłukł ciężkim przedmiotem, prawdopodobnie młotkiem, odłamki butelek, którymi chroniony jest mur...

Pani Paulette Lachaume po wizycie w mieszkaniu Anglika na ulicy Bourbon wróciła do domu taksówką...

— Dlaczego nie samochodem kochanka?

— Bała się, że w nocy będzie on zanadto zwracał uwagę.

— Powiedziała to panu?

— Powiedział mi to jej kochanek. W korytarzu życzyła dobrej nocy Leonardowi, który był już w szlafroku...

Nagle rysy Maigreta ściągnęły się i przez chwilę wydawało się, że jest myślą nieobecny.

— Coś przyszło panu do głowy?

— Jeszcze sam nie wiem. Będę musiał to sprawdzić...

Wszystko to w niczym nie przypominało jego snu, kiedy w tak błyskotliwy sposób przedstawiał niewidzialnemu sędziemu swe metody. I nie byli teraz na ulicy de la Gare.

Brakowało nastroju tamtego domu, jego przedmiotów, przeszłości i terażniejszości, tego, co widzialne i co niewidzialne.

Niemniej, świadomie grał pewną rolę. Z tym biednym Comélieu, który tak długo był jego osobistym wrogiem, prowadził otwartą wojnę, długą, nigdy nie wypowiedzianą, lecz nigdy nie przerwana, utajoną walkę między prokuraturą a Quai des Orfèvres.

Inni sędziowie woleli zostawiać mu wolną rękę i czekać cierpliwie, aż przyniesie im wszystko gotowe, oczywiście włącznie z przyznaniem się przestępcy do winy.

Teraz wobec sędziego Angelota wbrew woli odgrywał, jeśli tak można powiedzieć, takiego Maigreta, jakim niektórzy go sobie wyobrażali.

Nie był z tego dumny, lecz było to silniejsze od niego. Dwa pokolenia stały naprzeciw siebie i warto by pokazać temu żółtodzióbowi...

— Jakież wnioski?

— Nie wyciągałem wniosku, panie sędzio.

— Jeśli chodzi, jak to pan zdaje się twierdzić, o kogoś z rodziny...

— Z rodziny lub domowników.

— Więc zalicza pan do podejrzanych również tę starą, garbatą służącą?

— Nie wykluczam nikogo. Nie będę znowu przytaczał panu danych statystycznych. Przed miesiącem pewien gość zabił swego sąsiada właśnie z pistoletu 6.35, bo ów sąsiad uparcie nastawiał radio na cały regulator.

— Nie widzę związku.

— Na pierwszy rzut oka głupia, niewytłumaczalna rodnia. Ale okazało się, że zabójca był ciężko poszkodowanym inwalidą wojennym, dwukrotnie przechodził trepanację czaszki i, stale cierpiący, całe dni spędzał w swym fotelu. Sąsiad był krawcem chałupnikiem, cudzoziemcem pochodzenia, który po Wyzwoleniu miał nieprzyjemności, ale jakoś się z nich wygrzebał...

— Wciąż nie widzę...

— Właśnie do tego zdążam... To, co na pierwszy rzut wydaje się przyczyną dziwną — trochę mniej czy trochę więcej muzyki! — staje się, gdy się zastanowić nad tym, dla wojennego inwalidy sprawą życia i śmierci. Inaczej mówiąc, gdy weźmiemy pod uwagę okoliczności, zbrodnia staje się wytłumaczalna, niemal nieunikniona.

— Nie widzę żadnej analogii do sytuacji u Lachaume'ów.

— A jednak musiała istnieć jakaś analogia, przynajmniej w umyśle tego, kto zabił Leonarda. Poza dość rzadkimi wypadkami patologicznymi, człowiek nie zabija bez konkretnych, naglących motywów.

Czy znalazł pan te motywy w przypadku, o który nam chodzi?

— Znalazłem ich kilka.

Ale Maigret nagle poczuł, że ma dość narzuconej samemu sobie roli.

— Przepraszam pana... — mruknął.

Zabrzmiało to szczerze.

— Za co?

— Za wszystko. Nieważne. Przed chwilą, podczas rozmowy z panem, przyszło mi coś do głowy. Jeśli pozwoli mi pan zatelefonować, może coś się nam wyjaśni.

Sędzia przysunął mu aparat telefoniczny.

— Proszę mnie połączyć z Zakładem Kryminalistyki... Halo!... Tak... Halo!... Kto przy telefonie?... To pan, Moers? Tu Maigret... Otrzymałem raport... Tak... Nie o tym chcę z panem mówić, lecz o wykazie rzeczy... Przypuszczam, że jest dokładny? Co?... Wiem...

Wcale nie wątpię, że został sporządzony starannie... Chcę się tylko upewnić, czy aby w nim czegoś nie opuszczono... Osoba, która go przepisywała na maszynie, mogła opuścić całą linijkę... Ma pan może oryginał pod ręką? ...Niech go pan weźmie... Dobra... Teraz niech pan sprawdzi, czy nie opuszczono szlafroka... U siebie w biurze przejrzałem spis bardzo pośpiesznie i mogłem nie zauważyć... Tak, szlafrok... Tak, tak, męski... Czekam przy aparacie...

Słyszał, jak Moers półgłosem czyta wykaz.

— Nie. Nie przeoczono żadnego szlafroka. Zresztą, byłem tam i nic takiego nie widziałem...

— Dziękuję, stary.

W milczeniu popatrzyli sobie z sędzią w oczy. Wreszcie Maigret mruknął, jakby z wahaniem:

— Kto wie, czy w obecnym stanie rzeczy przesłuchanie nie wyświetliłoby czegoś!

— Przesłuchanie kogo?

— Właśnie się nad tym zastanawiam.

I to nie tylko dlatego, że szukał, jak to czasem nazywał, punktu najmniejszego oporu. Dziś wchodził w grę również pewien wzgląd osobisty.

Był przekonany, że sędzia Angelot będzie się domagał, aby przesłuchanie odbywało się w jego gabinecie. Może nawet zechce sam je prowadzić?

Maigret zaś nie chciał, żeby starego Lachaume'a, który już wyglądał jak jeden z portretów w biurze na parterze, wzywano do sądu. Trzeba by go rozłączać z żoną, której w ogóle nie można już ruszać. Poza tym, komisarz wcale nie był pewny, czy stary Lachaume jest całkowicie poczytalny. Zdawało się, że jego wzrok jest skierowany wyłącznie ku przeszłości, i Maigret przypuszczał, że stary żyje tylko wspomnieniami.

Jeśli chodziło o Katarzynę, zachowywała się bardzo wrogo i pewnie będzie z uporem trwała w tej postawie. Będzie kłamała wbrew wszelkiej oczywistości, kpiąc sobie z wszelkiej logiki. Wystarczyło popatrzeć na jej zgarbioną postać, posłuchać jej skrzekliwego głosu.

Nie znał Jean-Paula, nie widział go, bo sprytnie pośpieszono się umieścić chłopca w internacie.

Chłopiec mógłby, nieświadomie, dostarczyć cennych wiadomości, lecz Maigret wyobrażał sobie święte oburzenie sędziego śledczego, gdyby chciano niepokoić dziecko, które dwa dni temu straciło ojca.

Pozostawali Armand i Paulette.

Przeciw wezwaniu Armanda przemawiały jego ataki epilepsji. Przyciśnięty do muru może postarałby się o atak — prawdziwy lub udany?

— Sądzę, że chyba najlepiej by było przesłuchać panią Paulette Lachaume — powiedział wreszcie, wzdychając.

— Ma pan jakieś określone pytania dla niej?

— Parę. Inne wynikną z jej odpowiedzi.

— Chciałby pan, bym uprzedził jej adwokata?

Oczywiście, Radel będzie obecny. Angelot pilnuje, aby wszystko było zgodne z przepisami. Maigret nie bez melancholii wyrzekł się swego gabinetu, swych przyzwyczajzeń, drobnych nawyków, włącznie z tym, aby — w odpowiedniej chwili — zamówić kanapki oraz piwo lub kawę czy też polecić jednemu z inspektorów, aby go zastąpił, a ten, najniewinniej w świecie, zaczynał całe przesłuchanie od początku.

Wcześniej czy później przyjdzie dzień, kiedy wszystko to będzie należało do przeszłości, a pracę Maigreta przejmą tacy, jak Angelot, dobrze wychowani i nafaszerowani dyplomami.

— Telefonowałem do niego dziś rano — przyznał się komisarz.

Sędzia zmarszczył brwi.

— W sprawie tego przesłuchania?

Był już gotów bronić swych uprawnień.

— Nie; prosiłem go o dwie informacje, które przed chwilą przekazałem panu. Nie chcąc niepokoić rodziny Lachaume, wolałem zapytać za jego pośrednictwem.

— Halo!... Proszę połączyć mnie z mecenasem Radel... Andre Radel, tak... Halo... To ty, Radel?

Wczoraj, u Lachaume'ów, Maigret nie zauważył, by ci dwaj mówili sobie „ty”.

— Słuchaj... Jest u mnie właśnie komisarz Maigret... Śledztwo doszło do punktu, w którym przesłuchanie pewnych osób wydaje się niezbędne... No tak, oczywiście, że u mnie...

Nie! Nie mam zamiaru niepokoić starych państwa Lachaume... Jego też nie... w każdym razie nie teraz... Co?... Co mówi lekarz? Ach!... Tak, panią Paulette Lachaume... Zgoda...

Czekam na telefon od ciebie.

Odłożył słuchawkę i uznał za wskazane wyjaśnić:



— Kolegowaliśmy na wydziale prawa... Powiedział mi, że Armand Lachaume jest chory... Wczoraj wieczorem miał dość gwałtowny atak... Wzywano lekarza, który od rana znowu jest przy nim...

— A pani Pauletfe Lachaume?

— Radel ma zaraz dać mi odpowiedź. Przypuszczam, że przyjedzie z nią jeszcze przed południem.

Sędzia, zakłopotany, odkaszlnął; bawił się nożem do papieru.

— W stadium, w jakim się sprawa obecnie znajduje, będzie bardziej zgodne z przepisami, jeśli to ja będę zadawał pytania, a pan nie będzie się wtrącał, chyba w razie koniecznej potrzeby. Przypuszczam, że nie ma pan żadnych zastrzeżeń?

Maigret miał mnóstwo zastrzeżeń, ale na co zdałoby się o tym mówić?

— Będzie, jak pan sobie życzy.

— Uważam natomiast za zupełnie naturalne, że mi pan wyszczególni na piśmie, przed jej przybyciem, te punkty, na które zdaniem pana powinienem położyć specjalny nacisk.

Maigret kiwnął głową na znak zgody.

— Tylko parę słów na karteczce. Zupełnie nieoficjalnie.

— To się rozumie.

— Czy uzyskał pan jakieś dane o zmarłej żonie Leonarda Lachaume?

— Posłużyła do tego samego celu, co i córka Zuberera.

— To znaczy?

— Utrzymywała przez pewien czas przy życiu, jeśli w ogóle można to nazwać życiem, dom i wytwórnię biskoptów przy ulicy de la Gare. Pochodzenie również podobne. Jej ojciec jest byłym majstrem, który na robotach publicznych zrobił majątek. Jej posagiem łątano dziury.

— A spadek?

— Spadku nie było, ponieważ jej ojciec żyje, i zakrawa na to, że będzie żył jeszcze długo.

Najpierw Leonard. Następnie Armand.

Czyż ten upór, by utrzymać fabrykę, która, według wszelkich praw ekonomicznych, powinna była już dawno zniknąć z powierzchni ziemi — nie był czymś naprawdę wzruszającym?

I czyż nie było w tym jakiejś analogii z odruchem owego inwalidy wojennego, który zabił swego sąsiada, ponieważ ten torturował go od rana do wieczora nastawiając jak najgłośniej radio?

Maigret nie wybrał tego przykładu na chybił–trafił. To prawda, że zgrywał się wobec sędziego śledczego, ale, w głębi, wobec samego siebie, był jednak szczery.

— Halo, tak... Co powiedziała? Jak myślisz, ile czasu to zajmie?... Koło pół do dwunastej?... Dobrze... Ależ nie! W moim gabinecie...

Czyżby Radel tak bardzo się bał, że przesłuchanie mogłoby się odbywać w gabinecie Maigreta? Angelot upewnił go o tym raz jeszcze, mówiąc:

— U mnie, z zachowaniem wszelkich form...

Maigret wstał z westchnieniem.

— Będę tu trochę przed wpół do dwunastej.

— Niech pan nie zapomni wynotować pytań, które...

— Zaraz to zrobię.

Biedny Kanonik, zrezygnowany, wciąż jeszcze czekał między dwoma żandarmami na swej ławce, aż „jego” sędzia zechce go wreszcie przyjąć. Maigret, przechodząc, mrugnął do niego, a znalazłszy się wreszcie w swoim gabinecie, mocno zatrzęsął drzwiami.

## ROZDZIAŁ 8

Z łokciami ciężko opartymi na biurku, z czołem na lewej dłoni, Maigret, pykając z fajki, napisał kilka słów, a potem dobrą chwilę wpatrywał się nieruchomo w niebieskawy prostokąt okna.

Niby w przeddzień egzaminu, za czasów gdy przez dwa lata studiował medycynę, przeczytał teraz ponownie wszystkie raporty, a ów sławetny spis rzeczy, który zaczynał go już porządnie mierzić, aż trzy razy.

Właściwie czuł się nie tyle jak student przed egzaminem, ale jak zapaśnik, który za niespełna godzinę, może już za kilka minut, będzie walczył o swą opinię, swą karierę, wywoła gwizdy lub oklaski.

Co prawda, porównanie kulało. Sędzia Angelot nie miał żadnego wpływu na jego karierę, która i tak skończy się wkrótce emeryturą. A dziennikarze w ogóle nie będą nic wiedzieli z tego, co rozegra się w czterech ścianach jakiegoś gabinetu w Pałacu Sprawiedliwości.

Nie ma więc mowy o oklaskach. Co najwyżej groziła mu nagana i, w przyszłości, ironiczne lub pełne politowania spojrzenia niektórych młodych urzędników sądowych, którym taki Angelot nie omieszka tego opowiedzieć.

— A propos Maigreta i jego nosa, to...

Gdy tylko znalazł się w swym gabinecie, wezwał Lucasa, wydał mu polecenia i natychmiast wszyscy inspektorzy, jacy byli do dyspozycji, rozbiegli się w okolicy Palais-Royal, tym razem wypytując kupców i sprzedawców gazet, nachodząc w domu lub w biurze tych ludzi, którzy w niedzielę wieczorem jedli obiad na parterze w „Chez Marcel” i mogli coś zobaczyć przez okno.

A chodziło tylko o drobny szczegół, który w ostatniej chwili mógł zaważyć na przebiegu sprawy, jeśli nie wręcz o nim zdecydować.

Maigret napisał pytania, ale uznawszy swoje pismo za niezbyt czytelne, przepisał je.

O jedenastej z pewnym wahaniem włożył kartkę do koperty i kazał zanieść do Pałacu Sprawiedliwości.

Było to bardzo uprzejmie z jego strony. Dawał w ten sposób sędziemu Angelot czas na przygotowanie się, a zarazem sam odkrywał swoje karty.

Robił to zresztą nie tyle przez szlachetność, ile po to, by móc zjawić się u sędziego dopiero w ostatniej chwili i uniknąć przed rozpoczęciem przesłuchania nowej rozmowy z Angelotem.

— Gdyby teraz były do mnie jakieś telefony, to nie ma mnie, chyba że dzwoniłby ktoś z naszych ludzi.

Nawet przez telefon nie chciał rozmawiać z sędzią śledczym, nim Paulette Lachaume zjawi się w sądzie. Teraz krążył po gabinecie, przystawał na chwilę, by popatrzeć na ponurą szarość Sekwany, na czarne mrówki, które wspinały się na most Saint–Michel i wślizgiwały się pomiędzy autobusy.

Od czasu do czasu przymykał oczy, by lepiej wyobrazić sobie dom przy ulicy de la Gare, i coś półgłosem mówił.

Jedenasta dwadzieścia... dwadzieścia trzy... dwadzieścia pięć...

— Lucas, idę tam. Gdyby zaszło coś nowego, zadzwoń o mnie, ale proś mnie osobiście do telefonu.

Gdy masywna postać Maigreta zniknęła w głębi korytarza, usta Lucasa wymamrotały niewyraźnie coś, co zabrzmiało jak „cholera”.

Z daleka już Maigret dostrzegł Radela, który asystował ani Paulette Lachaume, ubranej w bobrowe futro i takież toczek, i do gabinetu Angelota weszli wszyscy troje niemal jednocześnie, co ogromnie sędziego zaskoczyło. Czyżby podejrzewał, że Maigret oszukuje go, że zdążył już porozumieć się z młodą kobietą i jej doradcą?

Radel, choć nieświadomie, uspokoił go:

— Jak to! Więc pan szedł za nami?

— Wszedłem przez wewnętrzne drzwi.

Sędzia wstał, ale nie pospieszył na spotkanie przybyłej.

— Pani wybaczy, że wezwaliśmy panią...

Widać było, że jest znużona, wyraz twarzy miała zmieniony, niemal udręczony.

Powiedziała cicho, odruchowo rozglądając się za krzesłem:

— Rozumiem...

— Proszę, niech pani siada. Pan również, mecenasie.

Obaj teraz nie zwracali się do siebie po imieniu i można by myśleć, że oprócz oficjalnych stosunków nic ich nigdy nie łączyło.

— Jak sędzę, pani zna już komisarza Maigreta. Pan również, mecenasie...

— Tak, widzieliśmy się już w domu państwa Lachaume...

Sędzia zaczekał, aż z kolei Maigret usiądzie, nieco na uboczu, w pobliżu drzwi. Ta ceremonia zajęła trochę czasu. Wreszcie usiadł i sędzia, upewnił się, czy sekretarz gotów jest do stenografowania, i odkaslnął.

Teraz on czuł skrępowanie, gdyż tym razem role były odwrócone: on był aktorem, a Maigret widzem i świadkiem.

— Niektóre z moich pytań, panie mecenasie, mogą wydać się panu, jak również pańskiej klientce, nieco dziwne... Myślę jednak, że powinna odpowiedzieć na nie z całą szczerością, nawet jeśli dotyczyć będą jej osobistego życia...

Maigret obserwując ją nabrał przekonania, że spodziewała się tego. Nie zaskoczono jej przecież zniecka. Radel zapewne uprzedził ją, że policja wpadła na trop jej stosunków z Sainvałem.

— Pierwsze z tych pytań, mecenasie, dotyczy również i pana, lecz stanowczo proszę, aby

odpowiedziała na nie pani Lachaume... Jak dawno uznała pani za potrzebne wziąć sobie adwokata?

Radel już gotów był zaprotestować. Spojrzenie kolegi powstrzymało go jednak i zwrócił się do swej klientki, która z kolei spojrzała na niego pytając nieśmiało:

— Czy mam odpowiedzieć?

— Byłoby to pożądane.

— Trzy tygodnie temu.

Patrząc na biurko, na którym sędzia umyślnie nagromadził stos przeróżnych papierów, łącznie z odpisami raportów i wykazu rzeczy, Maigret zauważył, że Angelot nie posługuje się jego karteczką, lecz pytania przepisane zostały na inny arkusz papieru.

Od tej właśnie chwili sędzia, ilekroć zaczynał mówić, patrzył na swego sekretarza, aby upewnić się, czy nadaża z notowaniem wypowiedzianych słów.

Nastrój nadal był obojętny, oficjalny i nie wyczuwało się na razie żadnego napięcia.

— Od śmierci pani ojca sprawę spadkową prowadził jego dawny notariusz, Wurmster, prawda? A współdziałał z nim mecenas Tobias, który również był adwokatem pani ojca.

Potwierdziła skinieniem głowy, lecz sędzia nalegał, żeby odpowiedziała słowami.

— Tak.

— Czy miała pani jakiś powód, właśnie trzy tygodnie temu, aby nie zwracać się do adwokata swego ojca, czyli do mecenasa Tobias, lecz do innego prawnika?

Radel wtrącił się:

— Nie widzę związku między tym pytaniem a tym, co się wydarzyło w domu państwa Lachaume.

— Zaraz pan ten związek zobaczy, mecenasie. Proszę, aby pańska klientka zechciała mi odpowiedzieć.

Paulette Lachaume odpowiedziała z pewnym wahaniem:

— Sądzę, że tak.

— Czy chce pani powiedzieć, że miała pani powód, by zmienić adwokata?

— Tak.

— I chciała pani zwrócić się do specjalisty, prawda?

Radel już znowu miał zaprotestować, ale sędzia uprzedził go:

— Pod określeniem „specjalista” rozumiem adwokata wybitnie znanego ze swego powodzenia w pewnej określonej dziedzinie...

— Możliwe...

— Czy w danym przypadku chciała pani zasięgnąć rady mecenasa Radela w sprawie przypuszczalnego rozwodu?

— Tak.

— Czy pani mąż wiedział wówczas o tym?

— Nie mówiłam mu.

— Czy mógł domyślać się pani zamiarów?

— Nie przypuszczam.

— A pani szwagier?

— Także nie przypuszczam. W każdym razie, nie wtedy.

— Czy pod koniec ostatniego miesiąca pomogła pani zapłacić należności?

— Tak.

— Podpisała pani bez sprzeciwu czek, o który panią proszono?

— Tak. Miałam nadzieję, że to już ostatni. Nie chciałam żadnych scen.

— Czy postępowanie rozwodowe było przygotowane?

— Tak.

— W jakim momencie ktoś w domu państwa Lachaume mógł przejrzeć pani zamiary?

— Nie wiem.

— Ale ktoś jednak o tym się dowiedział, w każdym razie w ostatnich dniach?

— Przypuszczam.

— Z czego to pani wnioskuje?

— Jeden z listów mecenasa Radel nie został mi doręczony.

— Kiedy powinna była pani go otrzymać?

— Tydzień temu.

— Kto zajmował się rozdzielaniem poczty?

— Mój szwagier.

— A więc wszystko przemawia za tym, że Leonard Lachaume przejął list mecenasa Radela. Czy od tamtej chwili miała pani wrażenie, że coś się zmieniło w zachowaniu Leonarda w stosunku do pani?

Wyraźnie się zawahała.

— Nie jestem pewna.

— Miała pani takie wrażenie?

— Zdawało mi się, że mój mąż mnie unika. Pewnego wieczoru wracając...

— Kiedy?

— W zeszły piątek.

— Niech pani mówi dalej... Powiedziała pani, że w zeszły piątek, wracając... O której to było?

— O siódmej... Załatwiałam różne sprawy na mieście... Zastałam wszystkich zebranych w salonie...

— Starą Katarzynę też?



— Nie.

— Byli tam więc pani teściowie, pan Leonard i pani mąż. A Jean–Paul?

— Nie widziałam go. Przypuszczam, że był w swoim pokoju.

— I co się stało, gdy pani weszła?

— Nic. Zazwyczaj wracałam znacznie później. Nie spodziewali się mnie i nagle zamilkli.

Odniosłam wrażenie, że wszyscy się zmieszali. Tego wieczoru teściowa nie jadła obiadu przy stole, lecz od razu poszła do siebie na górę.

— Jeśli się nie mylę, Jean–Paul mieszkał wtedy jeszcze na pierwszym piętrze, tuż obok ojca, w dawnym pokoju swej matki... Kiedy przeniesiono go na drugie piętro, gdzie sąsiadował teraz z trojgiem starych ludzi?

— Jakiś tydzień temu.

— Czy to on zaproponował tę zmianę?

— Nie. On nie chciał.

— Czy był to pomysł pani szwagra?

— Chciał w pokoju Jean–Paula urządzić sobie prywatny gabinet, aby pracować tam po południu.

— Czy zdarzało się, że pracował wieczorami?

— Nie.

— Jak pani na to zareagowała?

— Zaniepokoiło mnie to.

— Dlaczego?

Spojrzała na adwokata. Nerwowo zapalił papierosa. Maigret zaś, nieruchomy w swym kącie, chętnie zapaliłby fajkę, którą, nabitą, trzymał w kieszeni, ale nie śmiał.

— Nie wiem. Bałam się.

— Czego?

— Niczego określonego... Chciałam, żeby wszystko odbyło się bez wybuchów, bez roztrząsań, bez łez, bez zakłęb...

— Mówi pani o swym rozwodzie?

— Tak. Wiedziałam, że dla nich będzie to klęska...

— Dlatego że od czasu zamążpójścia pani utrzymywała cały dom. O to chodzi, prawda?

— Tak. Miałam zresztą zamiar pozostawić memu mężowi pewną sumę. Mówiłam o tym z panem mecenasem. Ale chciałam opuścić dom w dniu, w którym Armand otrzyma zawiadomienie...

— Czy Jakub Sainval wiedział o tym?

Na dźwięk tego nazwiska zatrzepotała rzęsami, ale nie zdradzając niczym innym swego zaskoczenia wyszeptała tylko:

— Oczywiście.

Sędzia milczał przez pewien czas, opuściwszy wzrok na swe notatki. Nie mógł się powstrzymać i zanim postawił następne pytanie, rzucił okiem na Maigreta.

— Jednym słowem, odejście pani oznaczało zarówno dla rodziny, jak i dla przedsiębiorstwa ostateczną ruinę.

— Już powiedziałam panu, że miałam zamiar zostawić im trochę pieniędzy.

— Na jak długo wystarczyłaby im ta suma?

— Przynajmniej na rok.

Maigret przypomniał sobie słowa wyryte na mosiężnej tablicy: „Firma założona w 1817r.”.

Bez mała półtora wieku! Co w porównaniu z tym znaczył jeden rok? Przez półtora wieku

Lachaume'owie trzymali się, aż nagle, dlatego że jakaś Paulette spotkała jakiegoś dziennikarza, który miał chętkę na pieniądze...

— Czy sporządziła pani testament?

— Nie.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że nie mam rodziny. A po drugie, miałam zamiar, gdy tylko stanie się to możliwe, wyjść powtórnie za mąż.

— Czy kontrakt małżeński przewidywał, że pani majątek przejdzie na tego ze współmałżonków, który pozostanie przy życiu?

— Tak.

— Od kiedy zaczęła się pani bać?

Radel próbował ostrzec ją, by miała się na bacności, ale spóźnił się; odpowiedziała już, nie zdając sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa:

— Nie wiem... Od kilku dni...

— Czego się pani bała?

Tym razem zareagowała: zacisnęła dłonie, a na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

— Nie wiem, do czego pan zmierza. I dlaczego to mnie, a nie ich pan wypytuje?

Maigret wyczuł, że sędzia zaczyna się wahać i że koniecznie powinien choćby spojrzeniem dodać mu otuchy.

— Pani decyzja rozwodu była nieodwołalna?

— Tak.

— Żaden argument ze strony Lachaume'ów nie byłby pani powstrzymał?

— Nie. Już dość długo się poświęcałam.

Tym razem słowo to w jej ustach nie było przesadą. Jak długo po swym ślubie łudziła się co do swej roli w tym patrycjuszowskim domu przy ulicy de la Gare?

Nie buntowała się. Robiła co mogła, by podźwignąć firmę, a przynajmniej pozatykać

dziury i opóźnić ostateczną katastrofę.

— Pani kochała swego męża?

— Sądzę, że tak. Na samym początku.

— Nigdy nie zdradzała go pani ze szwagrem?

Sędzia odczytał to pytanie ledwie półgębkiem i wolałby, aby to Maigret je zadał.

A ponieważ wahała się, dodał:

— Szwagier nigdy nie dążył do tego?

— Kiedyś, już bardzo dawno temu...

— W rok, w dwa lata, w trzy po pani ślubie?

— Mniej więcej po roku, gdy już zamieszkaliśmy z Armandem w osobnych pokojach.

— Pani odrzuciła zaloty Leonarda?

— Tak.

Cisza, która teraz zapadła, była głębsza, bardziej przytłaczająca niż poprzednie. Nastrój zmienił się niedostrzegalnie i czuło się, że od tej chwili liczy się każde słowo, że zbliżają się do jakiejś strasznej prawdy, o której nikt jeszcze nie napomknął.

— Kto używał prześcieradeł oznaczonych pani monogramem?

Odpowiedziała zbyt szybko. Radel nie zdążył przestrzec ją przed pułapką.

— Oczywiście, że ja.

— I nikt więcej?

— Nie przypuszczam. Może zresztą czasami mój mąż.

— Ale nie pani szwagier?

A ponieważ milczała, powtórzył:

— Nie pani szwagier?

— Raczej nie.

— Było dość innych prześcieradeł w domu, aby wystarczyło dla wszystkich?

— Chyba tak.

— Czy pani przyznała się Jakubowi Sainval, że pani czegoś się boi?

Zaczynała się chwiać, sama już nie wiedziała, co mówić, ścisnęła dłonie tak mocno, aż kostki na nich zbieleły.

— Chciał, żebym opuściła ten dom natychmiast...

— Dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Wolałam doczekać się przygotowania dokumentów rozwodowych. To już była kwestia dwóch, trzech dni...

— Czyli, gdyby nie śmierć szwagra, dziś lub jutro opuściłaby pani dom męża?

Westchnęła.

— Czy w zeszłym tygodniu nie przychodziło pani na myśl, że ktoś będzie usiłował przeszkodzić pani w odejściu?

Zwróciła się do adwokata:

— Niech mi pan da papierosa...

Angelot nalegał:

— ...za wszelką cenę przeszkodzić pani odejściu?

— Już nic nie wiem. Przez pana wszystko mi się płącze.

Zapaliła papierosa i schowała zapalniczkę do torebki.

— Czy Sainval nie ostrzegał, żeby miała się pani na baczności, zwłaszcza po stwierdzeniu, że szwagier panią śledzi?

Żywo podniosła głowę.

— Skąd pan o tym wie?

— Kiedy śledził panią?

— Przedwczoraj.

— A przedtem nie?

— Nie jestem pewna. W zeszły czwartek zdawało mi się, że widziałam go na ulicy de Bourbon.

— Pani była wtedy w mieszkaniu przyjaciela Sainvala?

Spojrzała teraz z wyrzutem na Maigreta, jakby wiedziała, że te wiadomości pochodzą od niego.

— Leonard korzystał z pani samochodu?

— Zgadzałam się na to.

— I widziała go pani przez okno, jak przejeżdżał?

— Jechał bardzo wolno i przyglądał się domowi.

— Więc to Sainval dał pani pistolet?

— Panie sędzio...

Radel zrobił ruch ręką, wstał.

— Proszę o pozwolenie odbycia z moją klientką krótkiej narady.

Spojrzenia sędziego i Maigreta spotkały się. Maigret mrugnął.

— Pod warunkiem, że naprawdę będzie krótka. Mogą państwo skorzystać z tego pokoju.

Dał znak sekretarzowi. Trzej mężczyźni wyszli na korytarz, gdzie Maigret, nie tracąc czasu, zapalił fajkę. Razem z sędzią spacerowali tam i z powrotem pomiędzy kręcącymi się interesantami, a sekretarz usiadł na ławce przy drzwiach.

— Czy i nadal uważa pan, panie Maigret, że tych samych wyników co na Quai des

Orfèvres nie da się osiągnąć w gabinecie sędziego śledczego, spokojnie, bez podnoszenia głosu, bez inscenizacji?

Na cóż zdało mu się odpowiadać, że przecież zadaje tylko te pytania, które on, Maigret,

mu przygotował?

— Jeśli wypadki miały taki przebieg, jak to zaczynam przypuszczać, Radel powinien poradzić jej teraz, by mówiła... To jest w jej interesie... Powinien był domagać się od niej tego od samego początku... Chyba że nie wyznała mu prawdy... Niechże pan teraz wyobrazi sobie, że nie odpowiedziałyby na moje pytania lub że kłamałyby. Do czego byśmy doszli?

Maigret dotknął jego ramienia, spostrzegł bowiem, dosyć daleko w perspektywie ogromnego korytarza, jakąś wahającą się postać.

Był to Armand, Lachaume, który, wyraźnie zagubiony w labiryncie Pałacu Sprawiedliwości, odczytywał tabliczki na drzwiach.

— Widział go pan? Lepiej, żebyśmy wrócili, zanim...

Lachaume jeszcze ich nie zauważył i sędzia, zastukawszy uprzednio do drzwi własnego gabinetu, wszedł tam, a za nim Maigret i sekretarz.

— Przepraszam. Nieprzewidziane okoliczności zmusiły mnie...

Paulette Lachaume, która stała, gdy weszli, usiadła teraz znowu, blejsza niż przedtem, lecz spokojniejsza, jakby doznała jakiejś ulgi. Radel zdawał się przygotowywać mowę obronną. W chwili, gdy już otwierał usta, zadzwonił telefon, sędzia go przyjął, wysłuchał i przesunął aparat w stronę komisarza.

— To do pana.

— Tu Maigret, tak... Dwie osoby widziały samochód?... Dobrze!... Opis się zgadza?...

Dziękuję. Nie... Za chwilę...

Odłożył słuchawkę i powiedział obojętnym głosem:

— Leonard Lachaume znajdował się przedwczoraj przed restauracją w Palais-Royal.

Mecenas Radel wzruszył ramionami, jakby obecnie sprawy te nie miały już znaczenia.

Śledztwo przybrało przecież inny obrót, ale informacja była i tak cenna.

— Moja klientka, panie sędzio, jest gotowa wyznać całą prawdę i przekona się pan, że ta prawda bardziej obciąża innych, niż ją. Zrozumie pan również, i chciałbym, aby to było zaprotokołowane, że jeśli milczała dotychczas, to nie dlatego, by uniknąć odpowiedzialności, lecz przez współczucie dla rodziny, do której należała szereg lat... Przyjdzie dzień, w którym sąd przysięgłych wypowie swe zdanie. My tu nie przeprowadzamy procesu Lachaume'ów, a ona, znając ich lepiej od nas, mogła przynajmniej przez kilka dni znajdować dla nich okoliczności łagodzące...

Usiadł zadowolony i poprawił krawat. Paulette Lachaume, nie wiedząc, od czego zacząć, wyszeptała:

— Od tygodnia, od czasu, gdy nie doręczono mi listu, a zwłaszcza od czasu, gdy zauważyłam Leonarda na ulicy de Bourbon, bałam się...

Na Quai des Orfèvres Maigret byłby jej zaoszczędził tych trudnych wyznań, gdyż to on by opowiadał przebieg wydarzeń, a ona jedynie potwierdzałaby lub poprawiała go w razie potrzeby.

— Proszę, niech pani mówi dalej...

Nie była przyzwyczajona mówić w obecności stenografa, który zapisywał jej słowa. To ją onieśmialo. Szukała odpowiednich słów i kilka razy Maigret musiał się wziąć w karby, aby się nie wtrącić. Zapomniał zgasić fajkę i teraz, nie zdając sobie z tego sprawy, palił ją w swym kącie.

— Bałam się zwłaszcza Leonarda, gdyż to on przede wszystkim, za wszelką cenę, starał się utrzymać fabrykę w ruchu... Kiedyś, już dosyć dawno temu, gdy wahałam się, czy dać mu pewną sumę, większą niż zazwyczaj, wygłosił do mnie przemowę, w której porównywał wielkie przedsiębiorstwa handlowe do starych szlacheckich rodów... „Nie mamy prawa — mówił patrząc twardo — dopuścić do upadku takiej firmy, jak nasza... Gotów jestem na



wszystko, żeby ją utrzymać”... To właśnie przypomniało mi się niedawno... Chciałam wtedy opuścić dom natychmiast, zamieszkać w hotelu i tam czekać, na przeprowadzenie rozwodu...

— Co panią od tego powstrzymało?

— Nie wiem. Chciałam rozegrać grę do końca, aż wszystko będzie załatwione... To bardzo trudno wytłumaczyć... Aby to zrozumieć, trzeba by przeżyć w tym domu całe lata...

Armand to człowiek słaby, chory, jest tylko cieniem swego brata... Jeśli chodzi o Jean-Paula, pokochałam go... Z początku miałam nadzieję, że będę miała dzieci... Oni też mieli na to nadzieję, śledzili, czy nie jestem w ciąży... Trapiło ich to... Zastanawiam się, czy to nie dlatego Leonard...

Zmieniła temat:

— To prawda, że Jakub dał mi pistolet... Nie chciałam go brać... Bałam się, że go znajdą. Na noc kładłam go na nocnej szafce, w dzień nosiłam w torebce...

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem, co oni z nim zrobili. To wszystko było takie chaotyczne i takie nierealne po tym.

— Proszę mówić, co było przed tym.

— Wróciłam około dwunastej... może o wpół do dwunastej... Nie pamiętam...

Postanowiłam, że w każdym razie będzie to przedostatnia noc... Drgnęłam cała, gdy Leonard otworzył swoje drzwi... Patrzył bez słowa, jak wchodziłam do mego pokoju, nawet nie powiedział mi dobry wieczór, i to mnie przeraziło... Gdy już w szlafroku poszłam do łazienki, widziałam światło w szparze pod jego drzwiami... Ogarnął mnie jeszcze większy strach... Może to było jakieś przeczucie... Postanowiłam nie kłaść się spać, tylko usiąść w fotelu i czekać, aż zacznie się rozwidniać...

— Nie zażyła pani swego środka na sen?

— Nie. Bałam się... Wreszcie jednak położyłam się, z pistoletem w rękę, postanawiając, że nie zasnę... Oczywiście miałam otwarte i nasłuchiwałam odgłosów domu...

— Słyszała pani, jak przyszedł?

— To trwało przeszło godzinę... Chyba zdrzemnęłam się na chwilę... Potem usłyszałam skrzypienie podłogi w korytarzu... Usiadłam na łóżku...

— Czy pani drzwi nie były zamknięte na klucz?

— W całym domu jest tylko parę kluczy i zamki nie działają od dawna... Wydało mi się, że ktoś poruszył klamką, i wtedy wstałam ostrożnie i stanęłam pod samą ścianą, jakiś metr od łóżka.

— Czy w korytarzu paliło się światło?

— Nie. Ten ktoś wszedł. Nie widziałam nic. Bałam się strzelić za wcześnie, bo byłam pewna, że jeśli chybię...

Nie mogła dłużej usiedzieć. Wstała i ciągnęła dalej — zwracając się już nie do sędziego, lecz do Maigreta:

— Czyjś obcy oddech był coraz bliżej. Czyjeś ciało nieomal otarło się o mnie. Byłam pewna, że jakieś ramię uniosło się, by uderzyć w to miejsce na łóżku, gdzie powinna była znajdować się moja głowa. Wtedy, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, nacisnęłam spust.

Maigret zmarszczył brwi. Nagle, nie zważając na hierarchię służbową, powiedział:

— Pan pozwoli, panie sędzio?

I, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

— Kto zapalił lampę?

— W każdym razie nie ja. Nie przypominam sobie tego... Wybiegłam na korytarz, sama nie wiedząc, dokąd... Prawdopodobnie wybiegłabym w koszuli na ulicę.

— Na kogo pani się natknęła?

— Na mego męża... Przypuszczam, że to on zapalił...

— Czy był ubrany?

Spojrzała na komisarza i oczy się jej rozszerzyły. Zrobiła wysiłek, jakby coś sobie przypominała, i wreszcie szepnęła:

— Tak... Nie zwróciłam na to uwagi...

— Co się potem działo?

— Chyba zaczęłam krzyczeć... W każdym razie pamiętam, że miałam otwarte usta...

Potem zemdlalam... Dopiero później koszmar powrócił... Zszedł mój teść... Katarzyna... Jej głos słyhać było przede wszystkim... Słyszałam z daleka, jak nakazywała Jean-Paulowi, by wracał do siebie na górę... Widziałam, jak z mego pokoju wychodził Armand z wielkim kluczem angielskim...

— Klucz nastawny, którym Leonard miał zamiar zadać pani cios.

— Prawdopodobnie... Kazali, żebym zamilkła, żebym przestała jęczeć...

— Kto kazał?

— Mój teść... Ta wiedźma, Katarzyna... Zwłaszcza ona!..., To ona zmyła podłogę i pomogła Armandowi przenieść ciało. To ona zauważyła, że moje prześcieradło jest poplamione krwią, gdyż Leonard upadł na ukos mego rozesłanego łóżka...

— Czy wydawali się zaskoczeni tym, co się stało? — zapytał z kolei sędzia śledczy.

— Nie użyłabym tego słowa... Przygnębieni, lecz nie zaskoczeni... Miałam wrażenie, że do mnie mają pretensję...

Sędzia ciągnął dalej:

— I wtedy zajęli się drabiną i wybili szybę w oknie?

— Nie.

Maigret odezwał się znowu:

— Proszę nie zapominać, panie sędzio, że około godziny dziesiątej wieczorem widziano kogoś, a więcej niż prawdopodobne, że był to Leonard, kto tłukł kawałki butelkowego szkła na murze... Zapewne też wtedy pomyślano o drabinie, o zatarciu śladów jej oparcia o parapet okna, o posmarowaniu szyby mydłem...

Westchnęła:

— Przypuszczam...

Radel zaczął:

— Panowie widzą, że moja klientka...

— Chwileczkę!

Sędzia przybrał suchy, surowy ton.

— Kto zażądał, by pani nie mówiła prawdy i twierdziła, że to było włamanie w celach rabunku?

— Nikt szczególnie.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

Do licha! Nafaszerowano go teoriami i teraz uważał, że prawdę należało do nich nagiąć, dopasować ją do tego czy innego schematu.

Nie domyślając się, że kładzie sędziego na łopatki, Paulette odpowiedziała:

— Od razu widać, że pan nie przeżył tamtej nocy!... Sama już nie wiedziałam, co się dzieje naprawdę, a co nie... Na przykład przypominam sobie, choć wcale nie jestem pewna, czy tak było rzeczywiście, skrzeczący głos Katarzyny: „Okna!” Gdyż w pierwszej chwili pozapalano wszystkie lampy. Okna nie mają okiennic, są tylko zasłony, które nie przylegają szczelnie... Pogasiła wszędzie... Ona również znalazła, chyba w kuchni, kieszonkową latarkę... Potem przyniosła wiadro i powiedziała: „Lepiej pan zrobi, jak pan pójdzie się

położyć, panie Armandzie... Pan również, panie Feliksie...” Obaj jednak pozostali. W jakiejś innej chwili poprosiłam o kieliszek koniaku, ale odmówili mi mówiąc, że nie trzeba, aby rano czuć było ode mnie alkohol.

— Co się działo z rana? Czy opowiedziano wszystko Jean–Paulowi?

— Nie! Powiedziano mu, że stryj miał atak... Gdy upierał się, że słyszał wystrzał, wszyscy go zapewnili, że był to albo huk pociągu, albo że przez sen usłyszał jakieś auto na ulicy...

Gdy tylko wyszedł do szkoły, urządzono coś w rodzaju próby...

Popatrzyła na adwokata. Czy ma powiedzieć, że telefonowała do niego, by zasięgnąć rady?

Czy dał jej znak, by tego nie mówiła?

Od pewnej chwili Maigret nie zważał na jej słowa, nad słuchiwał lekkiego szmeru za drzwiami.

Nagle, właśnie gdy Paulette Lachaume miała ciągnąć dalej swą opowieść, rozległ się odgłos wystrzału, pośpieszne kroki, stłumione głosy.

W jednej chwili pięć osób w gabinecie sędziego znieruchomiało, niby figury w muzeum.

Zastukano do drzwi, Maigret pierwszy wstał powoli i zanim otworzył drzwi, powiedział do

Paulette:

— Zdaje mi się, że pani mąż nie żyje.

Armand leżał na zakurzonej podłodze. Strzelił sobie w usta; kilka centymetrów od jego zgiętej ręki leżał pistolet, kaliber 6.35

Wówczas Maigret spojrział na stojącą nieruchomo młodą kobietę, na pobladłego nieco adwokata, na sędziego, który nie zdążył jeszcze przybrać stosownej postawy.

Komisarz powiedział tylko:

— Przypuszczam, panie sędzio, że nie jestem już panu potrzebny?

I nie dodawszy ani słowa poszedł długim korytarzem ku małym drzwiom, które

prowadziły do biur Policji Śledczej.

Gdyby przesłuchanie odbywało się właśnie tam, może sprawa przyjęłaby inny obrót?

Paulette Lachaume zeznawała zgodnie z regulaminem.

Jej mąż zmarł zgodnie z regulaminem.

Kto wie, czy tak właśnie nie było lepiej dla nich obojga?

W domu przy ulicy de la Gare pozostało już tylko troje starców, a jedyny potomek

Lachaume'ów z roku 1817 był w internacie.

Gdy Maigret wszedł do swego gabinetu, z pokoju inspektorów wynurzył się Lucas z

jakimś pytaniem na ustach. Ale komisarz sięgał już po słuchawkę telefoniczną, by połączyć

się z Weroniką Lachaume przy ulicy Franciszka I.

Weronika, zanim ostatecznie coś postanowi, ma prawo wiedzieć, jak się sprawa

przedstawia.

*Noland, 23 października 1958 r.*